

SZKOLNY OŚRODEK SOCJOTERAPII
LXI LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE
PRZY
SZKOLNYM OŚRODKU SOCJOTERAPII

XXX-LECIE

„S.O.S.”-U

PODZIĘKOWANIA

*Ta publikacja powstała z okazji trzydziestej rocznicy utworzenia
Szkolnego Ośrodka Socjoterapii „SOS”
i nadania LXI Liceum Ogólnokształcącemu,
działającemu przy Ośrodku, imienia Janki Zawadowskiej.*

*Dziękujemy wszystkim tym, którzy pomogli w jej powstaniu:
pracownikom, uczniom, przyjaciołom „starego” i „nowego” SOSu!*

*Szczególnie gorąco pragniemy podziękować panu profesorowi
Wacławowi Zawadowskiemu i Rodzinie Janeczki za okazaną pomoc,
a także pracownikom Biura Edukacji
za objęcie życzliwym patronatem starań
o nadanie naszej szkole imienia Janiny Zawadowskiej.*

*Dziękujemy również członkom TRIO
oraz redaktor naczelnej Dyrektora Szkoły Pani Annie Rękawek
za udostępnienie materiałów o Jance.*

DZISIAJ...

„S.O.S.” istnieje od 30 lat. Przyjmujemy młodzież, która chce rozwiązać swoje problemy, której przyda się pomoc – a my tę pomoc świadczymy. Staramy się tworzyć warunki umożliwiające wszechstronny rozwój naszych wychowanków – mitych, zdolnych ludzi, nie mieszczących się w systemach szkolnych.

Naszym autorskim dorobkiem jest system wychowawczy, który ewoluuje wraz z pojawianiem się nowych problemów, chociaż pewne jego elementy są trwałe.

W procesie wychowawczym niezbędne są wartości, które cenimy. Te wartości to: sprawiedliwość, poszanowanie godności człowieka, jego poglądów, wyznań, prawo do rozwoju swoich talentów, zainteresowań i uzdolnień. Nasz system zawiera obowiązujące normy, zasady postępowania, przywileje, nagrody i konsekwencje. Fundamentalne normy to norma o abstynencji oraz norma o nieagresji. Przestrzeganie ich pozwala na budowanie klimatu opartego na poczuciu bezpieczeństwa, a taki klimat jest niezbędny dla rozwoju naszych uczniów.

Praca w MOS Nr 1 „S.O.S.” jest pełna wyzwań, a jednocześnie dostarcza ogromnej satysfakcji. Wysiłek wychowawczy i edukacyjny jest prawie zawsze nagradzany. Dane nam jest obserwować rozwój naszych wychowanków. Na przestrzeni trzech lat naprawdę bardzo się zmieniają: zaczynają planować swoją przyszłość, odważnie marzyć, stają się psychicznie silniejsi, osiągają sukcesy, są świadomi swoich potrzeb.

XXX jubileusz nabrał szczególnego znaczenia wskutek nadania imienia naszemu liceum: dzięki naszym staraniom i przychylności Biura Edukacji mamy w strukturze Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii Nr 1 „S.O.S. – LXI Liceum Ogólnokształcące im. Janiny Zawadowskiej. To naprawdę bardzo dobrze brzmi!

Miałam przyjemność osobiście poznać Jankę. Wcześniej słyszałam o niej wiele opowieści, że była mądra i dobra, że można było zawsze liczyć na jej pomoc. Miała dla nas czas gdy kiedy już w SOS-ie nie pracowała. Pozostawiła po sobie ślad: wiele wspomnień, cytowanych do dziś jej wypowiedzi, ludzi, których zaraziła swoim zaangażowaniem i bezinteresownością.

J. Malinowska

GRAŻYNA



„S.O.S.” – DYREKCJE



**Jacek
„Jac”
Jakubowski,**
dyrektor
Ośrodka



**Michał
„Misiek”
Olszański,**
dyrektor
Ośrodka



**Witold
„Dzięcioł”
Dzięciołowski,**
dyrektor
Ośrodka



**Elżbieta
Jurga,**
dyrektor
Ośrodka

Jan Czerniawski

KALENDARIUM „S.O.S.”

W pierwszej połowie lat 70. poprzedniego stulecia wśród warszawskiej młodzieży narastały niepokojące zjawiska. Pojawiły się liczne grupy nieformalne, rozprzestrzeniła się narkomania. Sytuacja w innych miastach nie była lepsza. System opieki instytucjonalnej reagował na te zjawiska zbyt wolno.

W gronie tych, którzy przyszli z pomocą zagubionym młodym ludziom, znalazła się grupa nieco zwariowanych psychologów-nowatorów. Tak zaczęła się historia nietypowego ośrodka i jeszcze bardziej nietypowej szkoły.

1972 – powstaje Nasz Klub; mieści się on w budynku Stołecznej Poradni Medycyny Szkolnej przy ulicy Nowogrodzkiej (a dokładniej: na strychu tego budynku); klub nazywany jest przez jego pracowników i podopiecznych ośrodkiem socjoterapii (termin socjoterapia właśnie wtedy pojawił się w języku polskim po raz pierwszy!).

1974 – rusza klasa filialna – pierwsza w Polsce placówka oświatowa, umożliwiająca naukę młodzieży uzależnionej; jest to romantyczny okres w historii SOS – po pożarze pierwszego lokalu zajęcia odbywają się w Starej Prochowni, w Klubie Osiedlowym przy ul. Sobieskiego, a nawet... w mieszkaniach prywatnych.

1979 – przy Centrum Kształcenia Ustawicznego działają już trzy klasy filialne; grupa psychologów i nauczycieli opracowuje koncepcję Szkolnego Ośrodka Socjoterapii.

1981 – powstaje Szkolny Ośrodek Socjoterapii (SOS); jego dyrektorem jest Jacek Jakubowski; szkołą kieruje od samego początku Janina Zawadowska; Ośrodek otrzymuje lokal przy ulicy Chełmżyńskiej.

1982 – Ośrodek przenosi się do budynku przy ul. Grochowskiej; rośnie popularność SOS wśród młodzieży – staje się on azylem dla ludzi niepokornych i twórczych, oferując im oryginalne metody wychowania i edukacji.

1984 – rozpoczyna swoją działalność osadzone w ramach organizacyjnych SOS LXI Liceum Ogólnokształcące; szybko zyska sobie ono miano Szkoły Ostatniej Szansy.

- 1985 – Nowym dyrektorem Ośrodka zostaje Michał Olszański – Misiek.
- 1986 – powstaje filia LXI L.O. W Grzmiącej; mieści się tam oddział odwykowy jednego z warszawskich szpitali psychiatrycznych; pacjenci oddziału (niektórzy zakażeni wirusem HIV) otrzymują możliwość nauki w szkole średniej.
- 1988 – Łukasz Ługowski obejmuje funkcję dyrektora LXI L.O.
- 1991 – w otrzymanej od Kuratorium willi w Milanówku rusza hostel; otwiera się możliwość zorganizowania w nim opieki całodobowej.
- 1992 – dyrektorem SOS zostaje Witold Dzięciołowski – Dzięcioł; również LXI L.O. ma nowego dyrektora – jest nim Maria Kardaszewska – Majka.
- 1994 – po raz pierwszy fotel dyrektora SOS obejmuje kobieta – Elżbieta Jurga.
- 1995 – decyzja Kuratora Oświaty czyni z SOS Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii SOS nr 1; doświadczenia Ośrodka wykorzystano przy tworzeniu ramowego statutu młodzieżowego ośrodka socjoterapii; na bazie doświadczeń SOS-u powstał też w 1992 inny warszawski ośrodek dla nieprzystosowanej młodzieży – KAŹ.
- 1996 – Ośrodek rozpoczyna działalność w budynku przy ulicy Rzymowskiego; zgodnie z tradycją odpowiada na wyzwania czasu – wśród jego podopiecznych pojawiają się coraz liczniej osoby leczone psychiatrycznie i młodzież z trudnościami w uczeniu się; od dawna nie ma tu już młodzieży uzależnionej – osoby z tym problemem kierowane są do specjalistycznych placówek (nikt natomiast w SOS-ie przed problemem narkomanii nie chowa głowy w piasek).
- 1998 – zmiana na stanowisku dyrektora: zostaje nim Grażyna Makowska; w związku z reorganizacją oddziału w Grzmiącej wygasa działalność tamtejszej filii LXI L.O.; hostel przenosi się do budynku przy ulicy Rzymowskiego.
- 1999 – przy Ośrodku rusza witrażownia; staje się ona kuźnią interesujących projektów artystycznych oraz inicjatyw pedagogicznych; kierownikiem i duszą witrażowni jest Małgorzata Brendel.
- 2004 – LXI L.O. Zajmuje 10 miejsce w rankingu liceów województwa mazowieckiego przeprowadzonym przez Perspektywy (kryterium rankingu: procent absolwentów przyjętych na uczelnie wyższe).
- 2011 – LXI L.O. doczekało się triumfów olimpijskich! Stefan Józefowicz zostaje laureatem Olimpiady Języka Angielskiego.

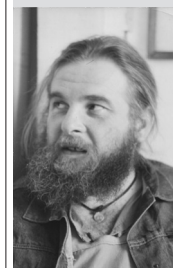
DYREKCJE



**Grażyna
Makowska,**
dyrektor
Ośrodka



**Janka
Zawadowska,**
dyrektor szkoły



**Łukasz
Ługowski,**
dyrektor szkoły



**Maria
„Majka”
Kardaszewska,**
dyrektor szkoły

WSPOMNIENIA



Jac Jakubowski

MOJA DROGA DO SOS-U

W wieku 18-tu lat zbuntowałem się na dobre. Mieszczaństwu, pseudosocjalistycznemu badzewiu, nieruchawemu kościółowi wykrzyzczeć chciałem NIE. Zapuściłem długie włosy, wyprowadziłem się z domu i w ruch hipisowski zanurzyłem się po uszy. Zacząłem wieść życie włóczęgi miejskiego, spałem po znajomych, często na klatkach schodowych albo w nocnym autobusie. Bunt był we mnie tak totalny, że zbuntowałem się nawet... przeciw hippisom. Ich podstawowym przestaniem były hasła WOLNOŚĆ, MIŁOŚĆ, BIERNOŚĆ. Kompletnie tej bierności nie mogłem pojąć. Prorok, najrówniejszy ze wszystkich równych (hipisi twierdzili, że przywództwo to zaprzeczenie równości), twierdził, że podejmował już każdy rodzaj działalności – pracował, tworzył, kradł... i to wszystko nie ma sensu. Trzeba istnieć.

Wraz z kilkoma kumplami tworzyliśmy wtedy taką paczkę, która wyraźnie nie dorosła do jego nauk. Mitość, wolność jak najbardziej. Ale bierność?! Uważaliśmy, że trzeba tworzyć! Pisać wiersze, robić happeningi, a także walczyć z komuną. Prorok nazwał nas (w jego mniemaniu dość prześmiewczo) TWÓRCAMI. A myśmy byli z tego przyzwiska bardzo zadowoleni i tak już do nas przyłgnęło. Sytuację ładnie charakteryzuje zdanie niejakiego Baluby, jednego z najrówniejszych (choć od Proroka trochę mniej równego). Przytacza je Marek Zwoliński w książce Kamila Sipowicza p.t. „Hipisi PRL-u”. „Twórcy... w ustach Baluby to miało charakter nieco pejoratywny [...] Naiwnie uważają, że na tym świecie da się coś zmienić”. To przypadek, z której nie wyleczyłem się szczęśliwie do tej pory.

W ramach kontrkultury zawitały do Polski narkotyki. Palilem trawę, haszysz, dwa razy bratem LSD, próbowałem różnych domowych wynalazków (m.in. leku na odchudzanie, który w dużych ilościach dawał pobudzenie amfetaminowe). Nigdy się nie uzależniłem, choć były niezłe jazdy. Kiedyś nawet przestraszony zaordynowałem sobie pół roku abstynencji od wszystkiego, bo wydawało mi się, że za ostro i za

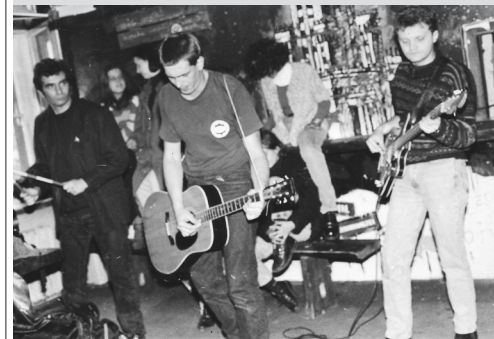
dużo tego. Jednocześnie widziałem kolegów, którzy tracili zdrowie i życie... Powoli docierało to do naszej świadomości, że to nie „cudna zabawa”, czy nawet „poszerzanie świadomości”, tylko potężne niebezpieczeństwo.

W ramach kontrkulturowego stylu życia podjąłem studia na filozofii (na Akademii Teologii Katolickiej – wtedy bardzo poza-systemowej), później na psychologii na U.W. Spotkałem Kazika Jankowskiego i Jurka Melibrudę, którzy sprowadzili do prząsnej, pseudosocjalistycznej Polski kolorową, pełną życia psychologię humanistyczną. Taką kontrkulturę w świecie psychologii i terapii. Studiując pracowałem w niesamowitych jak na tamte czasy miejscach. Eksperymentalny oddział w Garwolinie, słynny ośrodek na Czerniakowskiej (z którego wywodzi się SYNAPSIS) i później wspinał się OTiRO (Oddział Terapii i Rozwoju Osobowości). Syntezą tych światów było założenie dwóch komun – na Śtupeckiej i na Cyganeczki. Z jednej strony były to właściwie eksperymenty społeczne (jak tworzyć twórczą wspólnotę), z drugiej miejsce spotkań osób poszukujących nowych form terapii, wsparcia i rozwoju człowieka.

Jednocześnie coraz jaśniej docierało do mnie to, jak potężne spustoszenie wywołują narkotyki. Widziałem, jak twórcze, wrażliwe, głębokie osoby przeistaczały się w rozedrgany kłęb nerwów, we wraki zdrowotne gotowe wszystko oddać za kolejną dawkę. Ratowaliśmy kumpli robiąc im improwizowane odwyki i całymi tygodniami pilnując, żeby nie ćpali i nie pili.

Studiując na filozofii obracałem się także w środowisku świetnych ludzi z Żoliborza. Jacek Strzemieczny (dzisiaj szef Centrum Edukacji Obywatelskiej, potężnej organizacji zmieniającej oblicze polskiej szkoły), Tomek Rodowicz (współtwórca znanego teatru alternatywnego GARDZIENICE), Basia Grzywińska (dziś dziennikarka), Marek Prokop (jeden z pozostałych przy filozofii). Wszyscy oni bardzo lubili i podziwiali profesora Andrzeja Jaczewskiego, lekarza, szefa Przychodni Medycyny Szkolnej, ale też autorytetu w zakresie wychowania seksualnego. Jaczewski był też harcmistrzem i żeglarzem. Pamiętam takie jego zdanie „Jak trzeba pomóc takim ostrym git-ludziom (czyli chuliganom z podkultury więziennej) – to ja wiem jak do nich trafić. Biorę ich na żagle, gdzie ostry dryl i piękno żeglowania ustawia ich do

JAC



WSPOMNIENIA



pionu. A z takimi długowłosymi, co filozofują, ćpają i czegoś poszukują, to mi nie idzie. Może będziecie się nimi zajęli?”

Opisywana wcześniej „twórcza naiwność”, że w tym świecie coś można jednak zmienić spowodowała, że entuzjastycznie stwierdziliśmy „Oczywiście. Robimy”. Dla dodania sobie animuszu i powagi doko-optowaliśmy do ekipy moją przyjaciółkę zwaną Małą Czarną (Ewę Małeńczuk), która była dyplomowanym psychiatrą i niezłą już terapeutką. Dostaliśmy na nasze eksperymenty stary, zarzęzony i napętniony dziwnymi sprzętami strych w budyneczku przy ulicy Nowogrodzkiej. Zaczęliśmy formować pierwszą ekipę młodych ćpaczy, których zaprosiliśmy do... wspólnoty. Nie stosowaliśmy słowa pacjent. To byli młodzi koledzy, zbuntowani jak my, tylko już nie hipisi, a raczej punki. Namawialiśmy ich do twórczego życia, budowania własnego miejsca na ziemi (także w sensie dosłownym – razem fizycznie cały ten strych oczyściliśmy i wyremontowaliśmy). Czuliśmy, że nie uprawiamy tu nawet tej humanistycznej i nowatorskiej psychoterapii... Po wielu rozmowach ustaliliśmy, że skoro budujemy społeczność, to zamiast „psycho”, trzeba zastosować „socjo” i nazwaliśmy to wszystko socjoterapią. Tak powstała pierwsza nazwa – Ośrodek Socjoterapii.

Codziennosc ośrodka polegała na robieniu wszystkiego, co tylko do głowy przyjdzie – poza ćpaniem. Centralną sprawą była twórczość – muzyka, malowanie, działania parateatralne, ale także zakorzenione w doświadczeniach terapeutycznych spotkania społeczności, wspólne szukanie rozwiązań problemów, wspieranie przy porzucaniu narkotyków... Specyfiką tego miejsca było to, że tworzyliśmy jedno środowisko. Nasi przyjaciele mieszały się z ich kumplami, razem wyjeżdżaliśmy (na obozy, ale też prywatnie), razem laźliśmy do teatru czy na koncerty.

Nasza alternatywność dała także znać przy organizacji pracy. Jak wiadomo każdy zespół musi mieć szefa. Tknięci hipisowską ideologią uznaliśmy, że to mieszczański przeżytek. Po długich rozmowach postanowiliśmy, że każdy jest wolny i samodzielny, a kierować wszystkim musi koordynator. Nie szef, bo każda władza wypacza. Uznaliśmy także, że nie każdy się na koordynatora nadaje. Najlepiej nadaje się ten... kto się zgłosi! Wtedy – rozmowaliśmy – weźmie na siebie prawdziwą odpowiedzialność, a nie egoistyczną dominację. Zgłosiło się nas

trzech (Tomek, Jacek i ja) – więc ustaliliśmy, że funkcja koordynatora będzie... rotacyjna! Każdy z nas pełnił ją będzie przez miesiąc, a potem przekazywał następnemu. I to działało! Bywało różnie, ale działało!

Taka intensywność współżycia prosta nie jest. Ilość konfliktów, emocji, problemów przygniatła nas często ponad miarę. Czuliśmy się zdradzeni, kiedy młodzi nagle zaczynali nas testować przynosząc narkotyki. Przeżywaliśmy gorycz porażki, kiedy ktoś wypadat i wracał do ćpania. Najbardziej nas jednak wkurzała polska szkota. Kiedy z którymś z naszych młodych przyjaciół zaczynało dziać się lepiej i próbował podjąć naukę – nie miał szans. Szkota prędzej czy później wypływała go na bruk. Musieliby się ostrzyć, ładnie ubrać i dwa razy przykładniej niż reszta wkuwać formułki. Nikt ich nie wspierał, nie starał się pomóc, nie doceniał niewątpliwych talentów.

I znowu kultywowana od czasów hipisowskich naiwność, że w tym świecie coś można zmienić spowodowała, że postanowiliśmy... założyć dla naszych przyjaciół szkotę. Skoro nie mogą utrzymać się w ZWYKŁEJ (co widzieliśmy raczej jako zaletę, niż wadę), to załóżmy NIEZWYKŁĄ. I znowu dzięki Andrzejowi Jaczewskiemu, który cały czas roztaczał nad nami parasol ochronny wspierając i nie miesząc się zbyt, udało się założyć klasę – formalnie „przyszpitalną”. Do niezwykłej szkoły potrzebni są niezwykli nauczyciele. Jak ich znaleźć? Intuicyjnie wynaleźliśmy prosty sposób. Pytaliśmy wszystkich kto z fajnych znajomych ma odpowiednie studia. O kwalifikacje do pracy z tego typu młodzieżą nie pytaliśmy. Wystarczyło to, że chce podjąć pracę za takie pieniądze i w takim ośrodku. Musiał być niezwykły.

Niestety budynek, w którym tworzyliśmy to wszystko, splotnął. Ośrodek po prostu się rozpadł, ale klasa została. Przetrwiała do matury. Zajęcia odbywały się w tak egzotycznych miejscach jak opuszczony domek fiński na Polach Mokotowskich lub zrujnowany budynek po wiejskiej szkole w Woli Zawadowskiej pod Warszawą. Nie było w nim ogrzewania – musieliśmy go opuścić, kiedy Jackowi Dąbrowskiemu (świetnemu poloniście) zęby z zimna tak zaczęły szczekać, że już nie był w stanie mówić. Jakiś czas spędziliśmy w osiedlowym klubie na Stegnach, a rok czy dwa w Starej Prochowni na Starym Mieście. Na koniec – wielki sukces. Wszyscy zdali matu-

JAC



WSPOMNIENIA



re, a sześć z dwudziestu osób dostało się na studia. Wywalczyliśmy z kuratorium, żeby pozwoliło kontynuować ten dziwny eksperyment i uruchomiło klasy w ramach Centrum Kształcenia Ustawicznego. Nazwaliśmy się wtedy SOS (Szkolny Ośrodek Socjoterapii), ale była to nazwa nieformalna. Najpierw były dwie klasy. Pracowała ze mną, już na regularnym etacie moja koleżanka z roku Halina Wróblewska. Po roku uruchomiona została trzecia i doszła do nas Marta Bieniasz. Obie były prawdziwymi matkami późniejszego SOS-u.

W tym czasie w Polsce zaczęły dziać się tzw. dziejowe procesy. Wybuchła rewolucja Solidarności, w którą w oczywisty sposób włączyliśmy się pełną parą. Władze oświatowe trochę chyba oszalały i nagle zaczęły się do nas pozytywnie odnosić. My oczywiście walczyliśmy o rozwój, a oni powiedzieli „ZGODA. Tworzymy odrębną placówkę oświatową pod nazwą Szkolny Ośrodek Socjoterapii”.

Dzisiaj trochę trudno zrozumieć, co to oznaczało. To nie jest świat, w którym z bólem, ale przechodzą jakieś programy autorskie, a szkoły społeczne są już raczej establishmentem. To był system z oficjalnym „wychowaniem socjalistycznym”, podporządkowany PZPR, która bardzo chciała kształtować obywateli. To była scentralizowana biurokracja próbująca kontrolować każdą myśl, wydatek i formę organizacyjną.

Dyrektorem zostałem 1 lipca 1981 roku. Nauczycieli, wychowawców i psychologów miałem zatrudnić od 1 września. Dostaliśmy zrujnowany budynek na Chetmżyńskiej, który groził zawaleniem. Jednym słowem totalny kociół, z którego byliśmy szczęśliwi, pełni entuzjazmu i zapału. Oczywiście podstawowy skład zespołu mieliśmy, a resztę skompletowaliśmy spośród znajomych (artystów, działaczy Solidarności, kontrkulturowców, terapeutów itd.). Ja nadal miałem długie włosy, wszyscy (kadra i uczniowie) byliśmy po imieniu. Jak w czasie wizyty u księgowej pierwszy raz usłyszałem „A, witam pana dyrektora”, to się obejrzałem, bo myślałem, że ktoś wszedł.

Najwspanialszym nabytkiem kadrowym była cudowna, zupełnie nie-kontrkulturowa, żoliborska dama, Janeczka Zawadowska. Na początku nic nie kumata z tego, co tu się dzieje, czyli miała najlepsze kwalifikacje na dyrektora szkoły. Bo szkoła jako taka musiała być odrębną jednostką w ramach Ośrodka. Taka ciekawa konstrukcja

– ja byłem dyrektorem SOS, a Janeczka mi formalnie podlegała, ale była niezależnym dyrektorem. Na szczęście w ramach kontrkulturowej tradycji byliśmy wszyscy równi i już.

I tak 30 lat temu zaczęła się historia SOS-u jako już formalnej instytucji oświatowej. To co się w nim działo przez wiele lat przypominało raczej kontrkulturową wspólnotę, w której próbowaliśmy zrobić alternatywną szkołę, ośrodek terapeutyczny i awangardowy klub młodzieżowy w jednym miejscu. Kompletny odjazd. LSD to przy tym „pikuś”.

Marta Bieniasz

PO XXX LATACH

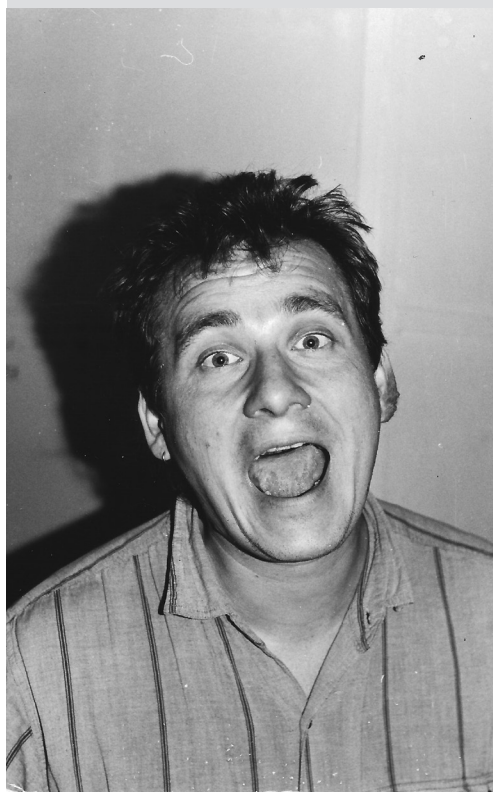
Był rok 1980. Od września zaczęłam pracować w Centrum Kształcenia Ustawicznego jako wychowawca Klas Filialnych dla Młodzieży Zagrożonej Uzależnieniem. Klasy te to kontynuacja Ośrodka, który założył Jacek Jakubowski wraz z ekipą przyjaciół. Przez rok pracowaliśmy w Centrum Kształcenia Ustawicznego: Jac – twórca, kierownik, wychowawca; Halinka Wróblewska i ja (wszyscy razem znaliśmy się ze studiów) – my jako wychowawcy etatowi; do tego ekipa nauczycieli z Janeczką Zawadowską na czele oraz liczna ekipa stażystów. Klasy, o ile dobrze pamiętam, były trzy, wypełnione dwoma typami uczniów: jedni to uzależnieni od narkotyków głównie od „kompotu”, drudzy to eksperymentujący ze sobą młodzi ludzie, którzy wypadli z systemu oświaty. Od początku wiedzieliśmy, że szkoła to pretekst do powrotu do życia bez ćpania, do twórczego uporania się ze sobą. Na tyle dobrze szła nam praca z młodzieżą i myślę, że w związku ze sprzyjającymi okolicznościami przemian w Polsce (czas Solidarności) podjęto decyzję o utworzeniu od września 1981 roku pierwszego w Polsce Szkolnego Ośrodka Socjoterapii z siedzibą w pięknym, ale strasznie zniszczonym, walącym się budynku na ul. Strażackiej na Kawęczynie. No i zaczęło się!

Pierwszy rok SOS-u był szczególnie: banda „nawiedzonych” psychologów, nauczycieli oraz osób zapraszanych do współpracy postanowiła

MARTA



WSPOMNIENIA



przetrwac pracujac z trudna wychowawczo, odlecaną spotecznie mlodzięz. Od 1 września do 13 grudnia mieliśmy czas, żeby zainstalowac się na ul. Strażackiej i rozbudzić nadzieje na wspaniałą alternatywną szkołę. Niczego nie było, nawet podstawowe sprzety – krzesła, stoły, tablice – trzeba było organizowac, ale nikt się nie przejmował na czym siedział. Mieliśmy obskurną kuchnię w piwnicy i tam organizowaliśmy jakies posilki. Jedzenie tez nie było problemem, ważne że w ogóle było. Problemem było to jak zorganizowac domowy odwyk, dyżury przy odwyku, jak pozyskac do współpracy lekarzy, jak zaabsorbowac zyciem mlodych ludzi, którym w znacznej mierze nie chcialo się żyć. I wbrew pozorom stan wojenny, który ogłoszono 13 grudnia 1981 roku, w tym nam pomógł. Integrował ludzi wokół przetrwania, walki o wartości. Normalne szkoły zostały zawieszzone, nasza funkcjonowała po domach nauczycieli, jak tajne komplety. Często lekcje i rady pedagogiczne odbywały się w gościnnym domu Państwa Zawadowskich. Uczniowie uczestniczyli w zyciu podziemnym stanu wojennego. Pamiętam moją wizytę na komendzie milicji przy Wilczej w celu wyciągnięcia Peretki z aresztu, udało się! Organizowaliśmy spotkania z „ciekawymi ludźmi”, którzy żyli ciekawie, ale nietypowo. Pamiętam wysilki nauczycieli, żeby aktywnie uczyć, pobudzac do myślenia. Lekcja historii o rewolucji francuskiej prowadzona w konwencji psychodramy przez Witka skończyła się prawdziwie rewolucyjną walką na krzesła, a chrzest Polski załac całą podtogę w szkole!

Po 1,5 roku lub po 2 latach przenieśli szkołę, za względu na zagrozenie zawaleniem się budynku, do siedziby przy ul. Grochowskiej, stan budynku był niewiele lepszy, ale pospinany klamrami trzymal się. Poniewaz wszystko było w fatalnym stanie to uczniowie sami pomalowali klasy i korytarze, kolorowo w stylu graffiti. To była już „prawdziwa” szkoła, mieliśmy stoły i krzesła i tablice. Choć dla ludzi z zewnatrz trudna do przyjecia ze względu na wystrój wnetrz i na relacje uczniow z nauczycielami i wychowawcami, wszyscy mówiliśmy do siebie po imieniu i nie da się ukryć, że często bardzo dosadnie. Wtedy było już okolo 100 uczniow i ze 30 pracownikow, w tym księgową, kucharz, woźny.

Moje najważniejsze wspomnienia związane są z pracą na wspólnych wyjazdach. Od początku organizowaliśmy obozy letnie i zimowe, organizowaliśmy sptywy, rejsy i wycieczki po Polsce.

Pamiętam pierwszy pobyt letni u Pica w Trzciance – to było wyzwanie dla wszystkich. Nic nie było do roboty, wtedy postanowiłam, że wyjazd musi mieć jakiś cel, zadanie, wyzwanie. Na pierwszym obozie zimowym w Rzepiskach ktoś, nie pamiętam kto, ale na pewno ktoś, kto nie grzeszył na co dzień inicjatywą, postanowił jednak być dobry i napalić pod nieobecność grupy w piecu, niestety użył do tego torebki papierowej, w której schowane były nasze wszystkie pieniądze na pobyt. Spalił w piecu nasze wszystkie pieniądze! Przetrwaliśmy, sama nie wiem jak.

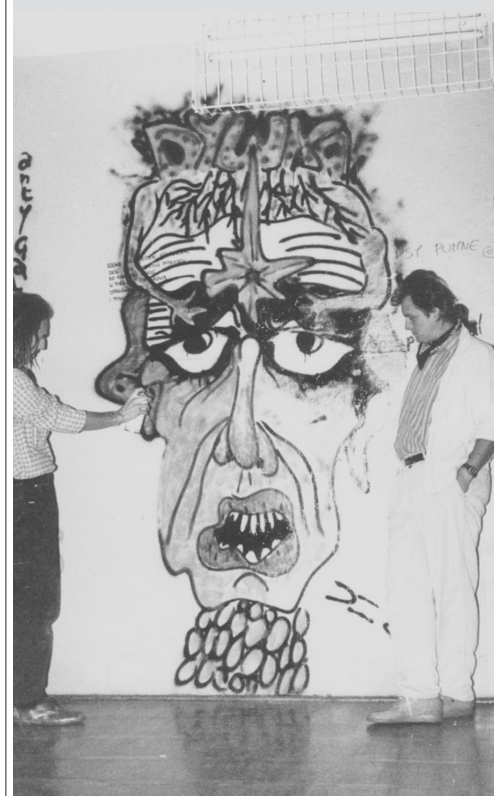
Potem były obozy zimowe narciarskie na Obidzy u Ani. Tam nauczyłam się razem z uczniami jeździć na nartach. Narty mieliśmy wypożyczone, a ubrani byliśmy – każdy w to co miał. Kolorowa grupa, która budziła powszechne zainteresowanie. Nie da się ukryć, że GOPR też miał robotę głównie asekurowali tych, którzy jeździli na krechę bo inaczej nie umieli. Janeczka Zawadowska i Krzysztof Dzięciołowski byli instruktorami, oni jeździli dobrze a nawet bardzo dobrze.

Latem organizowaliśmy obozy kajakowe. Pierwszy był sptyw Czarną Hańczą. Trzeba było wielkiego hartu, żeby nie zaćpać kiedy przepływało się obok pól makowych, które wtedy jeszcze nie były zakazane, jedliśmy ryż z zebranymi owocami dzikiej róży i surówki z pokrzywy, a ciała, żeby się nie spalić, smarowaliśmy olejem rzepakowym, bo nie było kremów. Biednie, ale ciekawie. Potem był sptyw Krutynią. Niestety trzy osoby zostały aresztowane przez pijany patrol milicji w Sorkwicach za zaśmiecanie ulicy, jadły słonecznik, straszono nas, że już jadą oddziały ZOMO, żeby ich zabrać (ciągle był stan wojenny), ledwo nam z Haliną udało się wyrwać ich z rak pijanych milicjantów na komisariacie. Luśka, Dżony i Piotr byli nieźle obici. Organizowaliśmy też obozy żeglarskie (rejsy po Wielkich Jeziorach Mazurskich); mimo, że większość nie umiała pływać a wywrotki się zdarzały!

Przez pierwsze cztery lata były zawsze: jeden obóz zimowy i dwa letnie. Jakoś zawsze znalazły się jakieś pieniądze, a nasze wymagania nie były duże. Wychowawcom chciało się spędzać wakacje z uczniami. Te właśnie wyjazdy wspominam z największym sentymentem i poczuciem dobrze zorganizowanej pracy z ludźmi, którym trzeba było pokazać jak można żyć i spędzać czas.

To był dobry czas, dużo nauczyłam się od kolegów i podopiecznych.

MARTA



WSPOMNIENIA



Łukasz Ługowski

MÓJ SOS

Pamięci Janki

Zanim dotarłem do SOS-u, na początku lat osiemdziesiątych, wiele o nim wiedziałem. Ale i tak pierwszy naoczny kontakt zrobił na mnie nie lada wrażenie. Zobaczyłem niesamowity, nieco wyizolowany z zewnętrznej rzeczywistości i w związku z tym mocno nierealny świat frików. Spełniona utopia – takie było moje pierwsze wrażenie.

Przypominam, mowa o czasach tuż postanowojennych, świat wokół był ponury, szary, beznadziejny. Jeszcze ponursze roboty wtedy wrażenie wszystkie miejsca edukacyjno-oświatowe. Wyglądały identycznie: ten sam brudnobeżowy (z brudnozielonym wariantem) kolor ścian, z tymi samymi, o dwa tony ciemniejszymi olejnymi lamperiami. I wszędzie ten sam zapach: jedynej dostępnej na rynku pasty do podłogi. Realizacja ówczesnego ideału: w takich samych wnętrzach tacy sami nauczyciele i – przede wszystkim – tacy sami uczniowie, tak samo ostrzyżeni w takich samych szarogranatowych strojach i w koszmarnych brudnobiałych juniorkach, czyli w quasi – adidasowym obuwiu pseudosportowym. Bez względu na płeć i gust. Taki był wówczas pomysł wychowawczy. Jednakowość. Ustrojowo wszyscy równi, a więc, niejako z definicji, powinni wyglądać identycznie. Bo przecież w szkole to takie łatwe do zrealizowania. Wystarczy kazać, a dzieci mają się słuchać. Jakiegokolwiek próby jakiegokolwiek indywidualizacji miały być przykładnie tłumione.

Przesadzam. Ale tylko trochę. Rzeczywistość aż tak nie wyglądała. Miała tak wyglądać. Na szczęście nie wszystko się pedagogicznym ideologom udawało. Ale próbowali.

No i na tym tle SOS. Tu już bez żadnej przesady: obdrapana, waląca się, więc spięta metalowymi klamrami, zwieńczona nadkruszonym krzyżem kamienica przy Rondzie Wiatraczna (dziś nie ma w niej SOS-u, z jej ówczesnego wyglądu został tylko ów krzyż: jest teraz ostentacyjnie elegancka i bogato kościelna). A w niej, w tej zanie-

dbanej kamienicy, na pierwszym piętrze Inny Świat. SOS. Kolorowe ściany i ubrania, długie włosy, krótkie włosy, kolorowe włosy, różne style. Kadra słabo odróżnialna od uczniów, wszyscy z wszystkimi na „ty”. Wszyscy wszędzie palą papierosy. Nie pali chyba tylko dyrektor i wice. Tak jak tylko dyrektor chodzi po szkole w kapciach. Bo ma taki kaprys. Jedyna alternatywna szkoła w tamtym świecie. Jedno z wielu alternatywnych miejsc w ówczesnej Polsce. Odjazd. Wolność. No i papierosowy dym – jako specyficzny objaw tej wolności. Signum temporis. Nie ukrywam, że zakochałem się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia. I kocham ten obrazek w mojej pamięci do dziś.

A o SOS-ie dużo wiedziałem, zanim go zobaczyłem, bo po prostu z Jacem Jakubowskim znamy się od końca lat sześćdziesiątych. Chodziliśmy wprawdzie do różnych liceów, ale najpierw spotkaliśmy się na jakimś harcerskim (tak!) sptywie kajakowym, a potem obaj zadawaliśmy się z kielkującym właśnie ruchem polskich hipisów. Ów kontakt – w tym ruchu, na jego obrzeżach oraz poza nim – trwał latami z większymi oraz mniejszymi przerwami (trwa zresztą do dziś). Po drodze obaj skończyliśmy studia, obaj trafiliśmy – różnymi drogami – do resortu oświaty.

Wiedziałem więc od niego samego, a także od Michała Olszańskiego i paru innych wspólnych znajomych, że jakieś dziesięć lat po naszym pierwszym spotkaniu, Jac skonstruował coś pionierskiego, reformatorskiego, ba, mocno ekstrawaganckiego. I udało mu się! Wykombinował – w dominującym wokół i dojmującym, choć już przecież schyłkowym komunizmie – życzliwe miejsce dla pogubionych młodych ludzi, mających kłopoty z używaniem środków zmieniających świadomość. Przypomnę, nasz kraj był już wprawdzie po wiekopomnym zaakceptowaniu przez władze odkryciu Marka Kotańskiego, że w Polsce – jako jedynym, zresztą, państwie bloku – istnieją narkotyki, lecz nadal formalnie żyliśmy w ustroju powszechnej szczęśliwości, w którym wszystkim jest dobrze bez używek, a alkohol to po prostu zamierający relikty poprzedniej epoki.

Jac wymyślił więc ośrodek, a przy nim szkołę, którą podopieczni mogliby bezboleśnie skończyć, żeby łatwiej poradzić sobie w sprawiającym im jednak niejako trudności życiu. Przekonał decydentów, że jak Ktoś Naprawdę Ważny kiedyś zapyta, co resort oświaty robi z pro-

ŁUKASZ



WSPOMNIENIA



blemem młodzieżowej narkomanii (w ówczesnym nowomownym żargonie mówito się raczej o lekomanii) – będzie można mu pokazać tę właśnie placówkę. Pamiętajmy, o jakich czasach mówimy. W planowej gospodarce trzeba było zaplanować możliwość takiego pytania, zadane przez takiego Kogoś. W ten sposób – w uproszczeniu – formalnie mógł przyjść na świat warszawski SOS. Przynajmniej tak mi to relacjonował jego twórca. Coś takiego, takie miejsce mógł wykoncipować (nawet w owych specyficznych czasach) tylko psycholog, nie-nauczyciel. Ale żeby móc ten pomysł zrealizować musiał znaleźć nauczycieli, przede wszystkim dyrektora od nauczania, bo samymi psychologami (nawet humanistycznymi) szkoły się zrobić nie da. Znalazł więc Janczkę Zawadowską, co prawda wówczas jeszcze nie nauczycielką, ale za to naukowca, z doktoratem, a to zawsze robi wrażenie na decydentach. Pracującą w („śmiertelnie nudnym” – tak opowiadała) PAN-ie.

Znalazł i zatrudnił w SOS-ie. Dziś imienia Janki Zawadowskiej. Trudno sobie wyobrazić patrona ściślej związanego z miejscem, które go uhonorowało. Nic dziwnego więc, że mówiąc dalej o starym SOS-ie muszę mówić przede wszystkim o Jance.

W tym kolorowym świecie Janka, prawdziwa dama i prawdziwy naukowiec w którymś pokoleniu, osoba mająca dar błyskawicznego uczenia się wszystkiego, ta Janka – z pozoru osoba ze świata zupełnie innego – świetnie się odnalazła i zmieściła. Choć pozostała sobą. Ubierała się nadal nie inaczej niż wcześniej, tak jak przystało pani doktor w PAN-ie. Elegancko, umiarkowanie, po swojemu, właśnie jak dama, bez żadnych ekstrawagancji. Nikogo nie udawała.

I jak to ona: szybko oraz perfekcyjnie nauczyła się SOS-u z jego dziwactwami i szaleństwami, w niektórych dziwactwach i szaleństwach uczestniczyła, czasem serio, czasem ironicznie, niektóre sama tworzyła. Jednak w tym całym, ponoć zamierzonym i kontrolowanym bałaganie (tak utrzymywali psychologodzy, powiedzmy sobie jednak, że – jak ja to pamiętam – tylko czasami ów bałagan rzeczywiście bywał kontrolowany), obok tych wszystkich nietypowych pomysłów stanowiła opokę i ostoję. Taką rolę sobie wybrała. W LXI Liceum Ogólnokształcącym przy SOS (i trochę w odróżnieniu od niego) panował specyficzny porządek. Nie było to proste, bo sosowscy nauczyciele

byli wszak też frikami i artystami, jak ich uczniowie, jak psychologzy-wychowawcy, oni też kontestowali rzeczywistość na zewnątrz. Janka również ją kontestowała, ale po swojemu. Wprawdzie w SOS-ie mogło się codziennie wydarzyć coś nieprzewidywalnego, mogła nawet w tym brać czynny udział, ale wśród mnóstwa zmiennych jedno było niezienne. Co rano na tablicy ogłoszeń w korytarzu wisiał sporządzony charakterystycznym Jankowym pismem plan lekcji na zeszytowej kartce. W trakcie dnia uzupełniany i kreślony, ale zawsze aktualny. SOS-owy wzorec metra. Punkt odniesienia.

Janka była kimś nietuzinkowym. Nawet na tle kadry SOS-u. A twierdzą, że właśnie dzięki nadzwyczajnym ludziom, których przyciągał Ośrodek, dzięki Miśkowi, Władcowi Klamerusowi, Marcie Bieniasz, braciom Dzieciotowski, Grażynie Budce, Lucynie Bojarskiej, Zosi Ochab, Monice Turskiej, Tomkowi Sulikowskiemu i wielu innym (wymienianie ich zawsze zmieni się w nietakt, zawsze ktoś zostanie pominięty...) udawało się nam robić coś nadzwyczajnego. Pomagać tym, którym nikt nie miał już ochoty pomagać. Ratować tonących, być przy naprawdę potrzebujących. Czasem do końca. Wiem, że brzmi to pompatycznie i banalnie, ale naprawdę na tym polegała nasza praca.

A jednocześnie Janka, osoba, która nigdy nie miała najmniejszych kłopotów z nauką, która, jak przypuszczam nigdy nie była na wagarach, od zawsze niepaląca, alkoholu używająca z umiarem i pod pełną kontrolą (o żadnych innych narkotykach nawet nie napomykam), ta porządna Janka, Prawdziwa Dama, rewelacyjnie i bezproblemowo dogadywała się z naszymi kompletnie odjechanymi dzieciakami. Ba, często zdarzało się, że jako jedyna „łapała kontakt”, czyli zdobywała zaufanie jakiegoś zupełnie odlecanego podopiecznego. A przecież właśnie na zaufaniu, na skróceniu dystansu, spersonalizowaniu relacji polegała i polega praca w prawdziwym ośrodku socjoterapii. Jak wszystko, za co się wzięła i to także Janka potrafiła robić perfekcyjnie. Po prostu, jak mówiłem, błyskawicznie się wszystkiego uczyła. To, co inni musieli żmudnie ćwiczyć, jej przychodziło z łatwością.

Równie perfekcyjna była zresztą za naczelnej dyrekcji Jaca, jak i po reformach, które wprowadził po objęciu dyrektorskiego stolca Miś Olszański. Trudno zresztą, żeby było inaczej. To były reformy,

ŁUKASZ



WSPOMNIENIA



w których tworzeniu była Michała główną sojuszniczką i współpracowniczką. Nic dziwnego, reforma polegała (w skrócie) na wprowadzeniu szkołocentryczności ośrodka. Dyrektorka szkoły musiała więc w niej aktywnie uczestniczyć. Ileś pomysłów, które wprowadzał Miś urodziło się przecież w analitycznym umyśle Janki. A SOS był dla niej zbyt ważny, by mogła pozostawić sprawy ich biegowi.

Mało brakowało zresztą, a do owej reformy by nie doszło. Nie doszłoby do powołania Miśka na dyrektora. W poprzednim roku Michał wpadł po prostu z podziemną bibułą w Poznaniu. To się zdarzało w naszym środowisku. Posiedział trochę w areszcie, sprawa była do wykręcenia i umorzenia. Tak się zresztą stało, a my w Warszawie, w SOS-ie, z inicjatywy Janeczki solidarnie udawaliśmy, że nic się nie dzieje, że Michał jest właśnie na dawno zamierzonym urlopie bezpłatnym. Chodziło o to, by – wszechwładne wówczas na naszym terenie – warszawskie kuratorium nie dowiedziało się o tym, żeby Miś (zaakceptowany już wcześniej przez zespół) mógł za rok zostać, po zadeklarowanej już rezygnacji Jaca, naszym nowym dyrektorem. Jako aresztowany dysydent nie miał szans. Udało się. Znow się okazało, że totalitaryzm tamtego ustroju, acz groźny i represyjny, był tak zbiurokratyzowany, że lewica nie zawsze wiedziała, co czyni prawica. Warszawa była wystarczająco daleko od Poznania. Kuratorium się nie zorientowało. Naprawdę!

Również odejście Janki z dyrektorowania było perfekcyjnie przez nią przygotowaną długofalową akcją. Zaplanowała wszystko precyzyjnie. Musiała. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęła mieć nasilające się kłopoty z sercem. Parę razy lądowała w szpitalu. Nie na długo. Z pozoru lekceważyła te problemy, traktowała jako niewiele znaczące epizody. Z pozoru, bo Janka zbyt poważnie, zbyt misyjnie traktowała to, co robiła, by nie zaplanować przyszłości miejsca, za które czuła się odpowiedzialna.

Poczytuję sobie za nie lada zaszczyt, że na swojego następcę upatrzyła właśnie mnie – a nie było to wtedy wcale oczywiste i łatwe, bo najmniej na świecie chciałem być wtedy dyrektorem, mało tego, świadomie kontestowałem taką możliwość. Jako stary hipis nie chciałem funkcjonować w standardowych strukturach. Przez lata udawało mi się pracować w różnych szkołach bez magisterium. Do

nauczania polskiego nie potrzebowałem dyplomu. Taką wtedy miałem ideologię. Skończyłem studia, bo tak mi się podobało, a nie dla jakiegoś papierka, jakiegoś zaświadczenia o zdobytym tytule, kwitu, jak wtedy mówitem. Było zresztą wówczas sporo nauczycieli bez dyplomu. Nazywało się to wtedy w nomenklaturze oświatowej, „posiadaniem wykształcenia wyższego zawodowego”. Moje niedyplomowanie nie przeszkadzało poprzednim dyrektorom, ba, jako niemagister zostałem poproszony przez jedną z wyższych uczelni o prowadzenie dla niej egzaminów wstępnych z języka polskiego (robiłem to przez siedem lat, bardzo sobie cenię to doświadczenie). Dostawałem trochę mniej pieniędzy, ale przecież zgodnie ze swoją ideologią uczyłem, bo tak mi się podobało, nie dla kasy. Powtarzam, nikomu, żadnemu dyrektorowi, nie przeszkadzał wtedy mój brak dyplomu. Wyrzucono mnie co prawda wcześniej z jednej ze szkół, ale nie w związku z niepełnym wykształceniem, a za przynależność do „Solidarności”.

Janka się jednak uparła. Długo nade mną pracowała. Odmawiałem. Nie chciałem. Zastosowała fortel. W pewnym momencie okazało się, że praktycznie nie muszę już niczego załatwiać, żadnych papierków, bo ona zrobiła to za mnie. Załatwiła mi wznowienie studiów. Stałem przed dylematem: wolność albo lojalność. Nie wypadało mi zawieść Janki, nie wypadało mi się wycofać. Byłoby to nieprzyzwoite wobec niej. Więc magisterium zrobiłem. Dziesięć lat po studiach. Właściwie dla niej.

I wtedy dopiero poznałem jej chytry plan. Oświadczyła, że jest chora, musi odejść z dyrektorstwa i mam być jej następcą. Bez dyplomu mogłem być nauczycielem, dyrektorem już jednak nie. I o to jej chodziło. „Jeśli się nie zgodzisz, to SOS może się rozlecieć, zlikwidują go, Misiek musi mieć sojusznika, musi mieć ciebie za sojusznika”. SOS był dla niej nie lada wartością, dyrektorowanie w szkole misją. „To nie awans, to zadanie do wypełnienia”, tłumaczyła mi. Odmowa byłaby rodzajem sprzeniewierzenia, zdrady. Nie miałem wyjścia. W 1988 roku zostałem dyrektorem z nadania i namaszczenia Janki. I tak mi zostało do dziś. Tę misję, jej misję kontynuuję tak jak umiem, dziś już nie w SOS-ie, w „Kącie”, którego powstawaniu kibicowała, a potem często go wspierała. Zostałem dyrektorem, a ona cały czas czuła się odpowiedzialna za swój wybór, wciąż była gotowa do pomocy nowi-

ŁUKASZ



WSPOMNIENIA



cjuszowi w dyrektorowaniu. Wiedziałem, że zawsze, o każdej porze odbierze telefon, że zawsze będzie gotowa poradzić albo współdziałać. Nadal nie lubię być dyrektorem (uwielbiam być przywódcą, a to wcale nie to samo), ale Janka zleciła mi zadanie...

Za czasów mojego dyrektorowania Janeczka pozostała w SOS-ie jako nauczycielka chemii. Rewelacyjna nauczycielka. Miałem przyjemność hospitować jej lekcje. Lekcje o życiu. Od tego się zaczynało, od prawd życia, by doprowadzić do konstatacji, że jednym ze sposobów (ważnym) na wyjaśnienie świata i naszego w nim istnienia jest chemia. Że kiedy się zna podstawowe (i nie tylko podstawowe) zasady i procesy chemiczne, ba, nawet wzory, jest nam po prostu łatwiej. Chemia to życie, zakochanie, choroba, śmierć... Uczyła jak wywabić płamę, odczyścić przypalony garnek, jak bezpiecznie dobrać kosmetyki, skutecznie i przewidywalnie zafarbować włosy, postawić je na sztorc. Uczyła chemii.

Nie ograniczyła się długo do nauczania swojego przedmiotu. Mimo że zdrowie nadal jej nie dopisywało, Janka została wkrótce – pierwszym w nowym już ustroju – dyrektorem CODN-u. Bo tak było trzeba. Zreformowała tę instytucję. Ale pamiętała o trwałości misji, o tym, by przygotować następców, „była niejako ‘opiekunem stażu’ kolejnych dyrektorów CODN, ja również mogłem tego wsparcia doświadczyć” – pisze we wspomnieniu o Jance Mirek Sielatycki, który dziś poszedł w (vice-)minystry.

Mój SOS, ten, w którym pracowałem, stary SOS, był czymś wielkim, ale miał też wielką wadę. Sam siebie nie doceniał. To znaczy wciąż mówiło się: „O, kiedyś to było nawet fajnie, ale teraz jest do niczego”, tak się mawiało, tak mówili nauczyciele, wychowawcy, podchwytywali ten ton podopieczni. Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Miałem poczucie, że pracuję w świetnym, coraz lepszym miejscu. Dziś mogę z dystansu (czasu i miejsca) powiedzieć z pełną odpowiedzialnością: w tej niezwyklej enklawie w zwykłym świecie, która czeka na swojego rzetelnego historyka i monografa, robiliśmy naprawdę świetną robotę. Coraz lepszą, bośmy uczyli się na własnych błędach. Do dziś nie mogę się nadziwić, że nam się to udawało i udało. Mimo że pomysł był od początku nierealny i nierealizowalny. Dla ludzi z zewnątrz. Myśmy go realizowali...

Lucyna Bojarska

DZIWNE MIEJSCE...

To były czasy odległe, prząsno-historyczne. Wiosna '89 roku. Pracowałam w ośrodku leczniczo rehabilitacyjnym dla młodzieży chorej na ptuca i oskrzela. Takiej, która nie miałaby szansy skończyć jakiegokolwiek szkoły, gdyby nie miała cały czas lekarzy pod ręką. Byłam wychowawcą w internacie i każdy dyżur zaczynałam od sprawdzenia, kto akurat leży pod tlenem, kto pod kroplówką, a kto „jest na chodzie”. No i kto nie leży, ale jest „zmulony” środkami, które wtedy ładowano niemal bez opamiętania pacjentom z dusznościami.

No i kiedyś paru chłopaków przyszło na poważną rozmowę. Zażądali zachowania pełnej tajemnicy. Trzej ich kumple uzależnili się w trakcie leczenia od dipherganu. Od jakiegoś czasu wyłudzały od pielęgniarek zwiększanie dawek, a ostatnio zaczęły dokradać z gabinetu zabiegowego. Lada chwila któryś wpadnie i wyleci z ośrodka, tak, jak wielu innych przed nim. Bo „narkomanów” natychmiast usuwa się ze wstrętem, nie patrząc na to, kto im to zrobił.

To były czarne czasy dla ćpunów. Traktowało się ich wtedy jak trędowatych w średniowieczu. Tyle, że nie było prawnego zakazu zbliżania się do zdrowych ludzi i nie musieli nosić dzwonka, którego dźwięk ostrzegał: „uwaga! wlokę za sobą śmiertelną zarazę”.

Jedno było pewne. Pomocy dla chłopaków trzeba było szukać poza ośrodkiem. Gdzie? Cholera wie... Kto w ogóle w tym kraju pomaga narkomanom?! w dodatku – ciężko chorym na poważne choroby?!

Przypomniałam sobie, że pół roku wcześniej czytałam jakiś artykuł o dziwnej „szkole dla narkomanów”. Takiej, w której traktuje się ich jak ludzi. Jakieś liceum, gdzieś na Kawęczynie. Poszukiwania trzeba zacząć tam.

Następnego dnia wędrowałam przez brudny i zapyziały Kawęczyn, wpytując przechodniów. Większość, słysząc pytanie, na wszelki wypadek odsuwała się ode mnie na bezpieczną odległość, wrogo mamrocząc „ja tam nie wiem...”. Zaczęłam polować na młodszych

LUCY



WSPOMNIENIA



informatorów. Jakiś dwudziestolatek powiedział: „To chyba w pałacu” i wskazał kierunek. „Pałac” okazał się wielką mieszcząską rudera z wieżyczkami i fintyfluchami. Szczelnie zamkniętą, pustą, ciemną, niedostępną. Od nielicznych przechodniów żadnych informacji nie dawało się wyciągnąć: spuszczała wzrok, coś tam mamrotała i dawali dyla. Wreszcie dorwałam jakiegoś menela. „A, było tu takie coś. Fajek pani nie ma?” Jasne, że miałam. Zapaliliśmy. Opowiedział, jak miejscowy „naród” pozbył się tego „wrzodu na dupie”, jakim było zbiorowisko narkomanów, nie wiedząc czemu zwleczonych w tę porządną okolicę. Bunt był taki, że ich stąd w końcu zabrali. Gdzie zabrali? Hm. Gdzieś na Wiatraczną chyba. Do jakiejś kolejnej rudery. Poszedł dopytać się u kolegi. Kolega, przywołany do płotu, obrzucił mnie wrogim spojrzeniem, ale burkliwie opisał miejsce. „Taki duży, odrapany rzęch, pospinany do kupy klamrami, a za nim wysokie bloki. Po figurze Matki Boskiej na trawniku pani pozna najlepiej”.

Następnego dnia rano mijałam Matkę Boską i wdrapywałam się po ciasnej klatce schodowej budynku, który z zewnątrz wyglądał, jakby powstanie warszawskie skończyło się wczoraj. A sama klatka schodowa wyglądała... Inaczej. To znaczy – inaczej niż wszystko, co widziałam wcześniej. Najbardziej kojarzyła się ze zdjęciami z jakiegoś holenderskiego squatu, które parę lat wcześniej pokazywał mi kumpel.

Była, na swój sposób, śliczna. No, może z tą ślicznością trochę przesadziłam. Ale za to nadzwyczajnie ciekawa. Ściany, a miejscami i sufit, można było czytać jak odlotowy komiks. Rysunki, napisy, hasła, świetne szablony, dłuższe teksty. Na malowniczo zużytej powojennej lamperii w statecznie wymiotnym koloru urzędowej olejnej farby, na dziurach w przedwojennym tynku, na plamach całkiem współczesnego grzyba, wszędzie, co kawałek, było coś wartego przeczytania, cieszącego oko, zabawnego. No i jakość tego wszystkiego... Miałam wrażenie, że jestem w jakiejś undergroundowej galerii.

Będę szczerą. Ja właściwie jestem wieśniakiem. No, może wtedy byłam raczej „małomiasteczkową panią”, ale z wyraźnymi ciągotami do przebywania w jeszcze mniejszych skupiskach ludności niż to, w którym się wychowałam. I ta klatka schodowa kompletnie

mnie rozwalita. Jakbym przypadkiem wlażała do jakiegoś kompletnie zaczarowanego świata. Przejścia między różnymi światami?

Dziwaczne, no nie?

Ale przypominam, że to były smętne czasy schyłku komuny, która już z niczym nie dawała sobie rady. Klatek schodowych śmierdzących szczyną, gotowaną kapustą i kwaśniejącą ścierą wiecznie wkurwionej sprzątaczkii, która raz w tygodniu równo rozsmarowywała brud na wilgotno. Czasy, w których pachnący szampon czy płyn do mycia podłóg można było czasem dostać w prezencie od przyjaciela powracającego z saksów. Albo z darów w kościele.

Ta klatka schodowa nie pachniała, bo nie miała czym, ale była wyraźnie czystsza od zwykłych blokowych. I miała ten dziwny, powalający klimat. Rozmawiała z człowiekiem.

Kompletnie splątana, niepewnie przekroczyłam drzwi w przepieprzeniu, z za których dobiegała muzyka. No i to rzeczywiście był inny świat. Przede wszystkim – znacznie weselszy, niż ten na zewnątrz. Kolorowy. I jakiś taki przyjazny.

Gapiałam się oczami jak spodki na palących papierosy odlatowo pobieranych ludzi, różnaitość makijaży, powalającą mieszankę subkulturowych fryzur i strojów. Woodstock w pigułce.

Parę osób spojrzęło na mnie. Chłopak, który stał najbliżej, powiedział „dzień dobry” i zapytał, czy może w czymś pomóc. Wydukałam.

– A, to pewnie musisz pogadać z Miśkiem. To nasz dyrektor. Ej! – wrzasnął. – Kto widział Miśka?

– W sekretariacie – krzyknęła jakaś dziewczyna w ręcznie malowanej sukni.

– Chodźmy – uśmiechnął się zachęcająco, widząc moje skołowanie.

Za ciasnym korytarzykiem kottował się kolejny tłum, w większości hałaśliwie zatapiający jakieś swoje sprawy i palący albo próbujący wyłudzić od kogoś papierosa. Jakiś chłopak, wyglądający jak z „Gorączki sobotniej nocy”, coś w pośpiechu pisał na maszynie, a jednocześnie wykrzykiwał do chłopaka z dreadami, siedzącego na parapecie wielkiego okna, z jedną nogą wywieszoną na zewnątrz:

– Jak to – znowu zgubiłeś legitymację?!

LUCY



WSPOMNIENIA



- No, zgubiłem. Muszę szybko mieć nową, bo do domu chcę jechać.
- Zdjęcie musisz mi dać.
- Nie mam. U Agnieszki pewnie jest w papierach.
- To gadaj z Agnieszką...

Na teatralnej kanapie pod ścianą blondynka wyglądająca na studentkę tłumaczyła dziewczynie w kapeluszu z wielkim rondem i eleganckiej sukni z tafty:

- Masz kiepską frekwencję. Jeżeli teraz nie będzie cię w szkole przez dwa dni, to możesz zaważyć semestr z byle powodu. Wystarczy byle jaka choroba – i leżysz...

Jakaś dziewczyna wpadła z korytarza, krzycząc:

- Nysia, trzeba już lecieć po obiad do „Zagłoby”. Wczoraj prosili, żeby dzisiaj zabrać termosy wcześniej, bo mają jakąś imprezę...

Mój przewodnik podszedł do grupy, która z uwagą przeglądała jakieś fanziny i oglądała bajeranckie koszulki.

- Misiek, ktoś do ciebie.

No dobra. Ale ten facet z kółkiem w uchu i w spranej koszulce jakiejś angielskiej kapeli na pewno nie wyglądał na dyrektora. Rany! Inny świat.

Misiek spojrzał uważnie i odłożył zina.

- Słucham?

Zaczęłam coś stękać, że szukam pomocy.

- Zaraz. Gdzieś usiądziemy – zajrzał do maluśkiego pokoiku, gdzie siedzieli parę osób, stłoczonych na tle wielkiego zdjęcia pałacu kultury.

Wprowadził mnie do jeszcze mniejszego pokoiku, w którym za biurkiem siedziła zanurzona w papierach i papierosowym dymie Nysia. Misiek przysiadł na stercie papierów i wskazał mi krzesło. Zaczęłam nieskładnie opowiadać mroczną historię o swoich wychowankach.

- To chłopaki z zawodówki?

Przyświadczyłam.

- I w dodatku chorzy?

Właśnie.

- No, to masz problem – zmartwił się wyraźnie. Nysia też. – Trudno będzie. Nie wiem, czy takimi przypadkami ktokolwiek w kraju się zaj-

muje. Przede wszystkim porozmawiaj z Tomkiem. To nasz psychiater. Jeżeli ktoś będzie wiedział, co poradzić, to tylko on.

Tomek, jak się okazało, właśnie z kimś rozmawiał. Trzeba było na niego poczekać.

– To tylko chwila – wyjaśnił mi życzliwie jakiś chłopak w kompletnie zdartych jeansach i flanelowej koszuli ze śladami farby. – Za chwilę zacznie się lekcja.

I rzeczywiście, po paru minutach ktoś wrzasnął:

– Lekcja!!!

No i wszyscy zaczęli się zmywać w pośpiechu i znikać na korytarzu. Otworzyły się drzwi do jednej z kanciapiek, wyszła z nich dziewczyna i brodaty facet, zwijający lekarski stetoskop.

– Jeżeli to zaniedbasz, to skończy się zapaleniem płuc.

– O, to jest Tomek – usłyszałam Miśka zza swoich pleców. – Tomek, spróbuj pomóc dziewczynie.

To była krótka i bardzo rzeczowa rozmowa o moich chłopakach (nikt nie pracuje z młodzieżą w takiej sytuacji – służba zdrowia z zasady nie przyznaje się, że to ona coś sknociła; dorosłego w takiej sytuacji przyjęliby pewnie do szpitala psychiatrycznego, ale uzależnionego niepełnoletniego z ciężką astmą żaden oddział nie przyjmie). A potem długa rozmowa o placówce, w której pracowałam (miejscu, w którym pracowników było, lekko licząc, ze cztery razy więcej, niż podopiecznych; gdzie służba zdrowia starała się zaprowadzić szpitalny dryl w stylu radzieckiego sanatorium, a dzieciaki wykańczały nie tylko choroby, ale przede wszystkim nuda, beznadzieja i drugie życie).

Raaaaany! Jak mi to pomogło... Dlaczego wcześniej nie wpadłam na to, że jeśli ktoś pracuje w TAKIM miejscu, to powinien regularnie odwiedzać psychiatrę?!

Na koniec Tomek kompletnie mnie rozwalił. Życzliwie, ale bez jakichkolwiek czułości powiedział:

– Nie jesteś w stanie im pomóc. Ty się tu przenieś. Przecież i tak cię z tamtego miejsca wywalą. Nie pasujesz. Jesteś niebezpieczna, bo za dużo dostrzegasz i wyciągasz sprawy, które oni chcą za wszelką cenę ukryć. Tu będziesz mogła pracować.

LUCY



WSPOMNIENIA



Ja?! Tutaj? TUTAJ?!

Chryste...

Plotka o problemie, z którym przyszłam, jakoś rozplynęła się w międzyczasie po SOSie, więc nim wyszłam kilka osób zaczepiło mnie, żeby się dowiedzieć, czy Tomek coś wymyślił, pomartwiło się do towarzystwa, że „nie ma proszków” na moją przypadłość. A na koniec postanowiono jeszcze mnie nakarmić, bo taka chuda, a zaraz obiad. Wegetariański.

Wyszłam z magicznego budynku jak zaczarowana.

Moim chłopakom przez parę dni opowiadałam o tym dziwnym miejscu, gdzie każdy może namalować albo napisać na ścianie to, co mu w duszy gra, gdzie wszyscy są ze sobą na ty, wszyscy wszystkich traktują życzliwie, a człowiekiem z ulicy natychmiast zaopiekuje się pierwsza osoba, która się nawinie, czyli chyba wszyscy czują się gospodarzami tego miejsca. Słuchali tych opowieści z rozmarzeniem, jak bajki na dobranoc.

Pół roku później znowu byłam w SOSie. Właśnie wylatywałam z hukiem z roboty. Czyli – wszystko zgodnie z diagnozą psychiatry.

Teraz musiałam poczekać na rozmowę z Miśkiem trochę dłużej, bo kiedy przyszłam, odbywało się cotygodniowe Forum. Zajął się mną chłopak, który wyszedł z klubu do kibelka, kiedy z zaskoczeniem spoglądałam po kompletnie opustoszałej szkole i zastanawiałam się, czy nie powinnam zajrzeć tam, gdzie najwyraźniej coś się dzieje i to coś bardzo dynamicznego. Chłopak wyjaśnił, że Forum jest bardzo ważną instytucją dla tego miejsca: dyskutuje się tam o najważniejszych sprawach ośrodka i przegłosowuje decyzje. Nie wolno przeszkadzać. Właśnie nauczyciele zaproponowali, żeby znieść sesję zaliczeniową i zamiast tego wprowadzić zwyczajne, systematyczne zaliczanie, takie samo, jak w innych szkołach. Twierdzą, że odkładanie wszystkich zaliczeń na dwa tygodnie powoduje, że uczniowie przeżywają ogromny stres. Uczniowie bronią sesji twierdząc między innymi, że wolą borykać się z wielkim stresem przez dwa tygodnie, niż z łagodniejszym przez pół roku.

– To się watakuje po parę razy w roku. Zawsze ich przegłosowujemy i sesja zostaje. Teraz też tak będzie.

Za drzwiami klubu słychać było to gorącą dyskusję, to kłótnię, to śmiech, to oklaski. Dziwne miejsce. Podobało mi się coraz bardziej.

Miałam czas, żeby dokładniej przyjrzeć się ścianom. A właściwie – poczytać je. Napisy i szablony wewnątrz szkoły, były chyba jeszcze zajebistsze, niż na klatce schodowej. Peten odjazd! Powiedziałam to Saszy. I to, że wokół szkoły nie widziałam żadnych szablonów na murach, chociaż cała Warszawa jest upstrzona.

– To chyba dlatego, że jak ktoś ma coś fajnego, czym się chce pochwalić, to przynosi to do SOSu, żeby błysnąć przed wszystkimi. No i nie optaca mu się marnować farby i nerwów na malowanie na ulicy.

Po prostu – wymarzona legalka. Właściwie – pierwsza w kraju (a może nie tylko?) galeria streetartu.

Podobało mi się do bólu.

LUCY



JANKA...



Z ogromną przyjemnością i satysfakcją informujemy, że Janeczka została naszym patronem!

Najpierw My napisaliśmy pismo:

„Wniosek o nadanie imienia Janiny Zawadowskiej LXI Liceum Ogólnokształcącemu przy MOS nr 1 „SOS”

Rada Pedagogiczna, Samorząd Uczniowski, członkowie Stowarzyszenia Przyjaciół „SORS-u” oraz Rodzice uczniów MOS nr 1 „SOS” zwracają się z wnioskiem i prośbą o nadanie szkole działającej przy Ośrodku imienia dr Janiny Zawadowskiej, wieloletniej nauczycielki, wychowawczynie i dyrektorki LXI Liceum Ogólnokształcącego.

Uzasadnienie

O zasługach p. Janiny Zawadowskiej dla polskiej oświaty, wszelkich inicjatyw, nowatorskich rozwiązań nie trzeba przypominać – wszyscy dobrze je znamy. Dla wielu osób była i pozostanie symbolem uporów w słusznej sprawie. Jedną z założycielek szkoły dla „trudnej młodzieży” przez wiele lat była prawdziwym Mistrzem. Jej postać na trwałe związała się z ideą Ośrodka, wychowała wiele roczników uczniów, także kilka pokoleń nauczycieli i wychowawców. Jako nauczycielka chemii wprowadziła autorski program, w którym Swoją dużą akademicką wiedzę łączyła z chemią „na co dzień” – dzięki temu lekcje były naprawdę ciekawe. Jako dyrektorka potrafiła stworzyć zespół, przekonać do Swoich racji, pociągnąć za sobą do działania.

Od lat trwały dyskusje o nadaniu działającemu przy Ośrodku Liceum imienia, żadna propozycja nie była tak właściwa jak ta, żeby Liceum Ogólnokształcące przy MOS nr 1 „SOS” patronowała Janina Zawadowska.”

Później przyszła odpowiedź Władz:

„Uchwałą z 26 maja 2011 roku Rada Miasta Stolecznego Warszawy nadano imię dr Janiny Zawadowskiej LXI Liceum Ogólnokształcącemu.”

Bardzo dziękujemy!

ŻYCIORYS JANKI ZAWADOWSKIEJ

Janina Zawadowska urodziła się 3 października 1936 roku w Warszawie w rodzinie nauczycielskiej. Jej ojciec – Wiktor Ehrenfeucht był autorem podręczników z dziedziny astrofizyki, matka – Aniela to autorka licznych podręczników do matematyki.

W 1953 roku ukończyła Liceum Ogólnokształcące w Łodzi i rozpoczęła studia na wydziale chemicznym Politechniki Łódzkiej. Po trzech latach, po wyjściu za mąż przeniosiła się do Warszawy i kontynuowała studia na Politechnice Warszawskiej, które ukończyła w 1959 roku. Pracę magisterską – *Reakcje m-nitrocynamonianem metylu z hydrazyną* wykonała pod kierunkiem profesor dr W. Policzkowej.

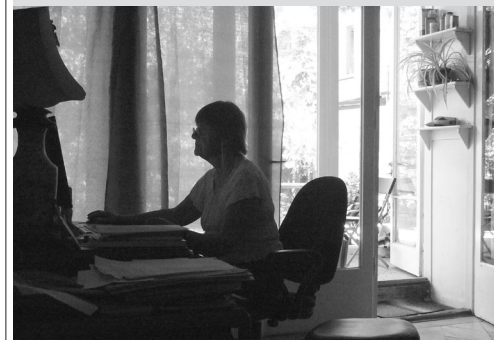
W latach 1960–1961 pracowała na Uniwersytecie w Montrealu. W 1961 roku rozpoczęła pracę na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Chemii. Do jej obowiązków dydaktycznych należało prowadzenie ćwiczeń laboratoryjnych i audytoryjnych z chemii analitycznej ilościowej. Była współautorem podręcznika z tej dziedziny. W 1969 roku została służbowo przeniesiona do Instytutu Chemii Fizycznej PAN, w którym pracowała do końca października 1980 roku. W 1975 roku obroniła pracę doktorską *Elektrochemiczne i fotochemiczne badanie nitrofuranów*. Do 1980 roku była współautorem dziewięciu prac naukowych i jednego patentu.

Od stycznia 1981 roku została zatrudniona w Centrum Kształcenia Ustawicznego w charakterze nauczyciela chemii.

W latach od września 1981 do 1991 roku była dyrektorem LXI L.O. przy Szkolnym Ośrodku Socjoterapii i jednocześnie uczyła chemii.

W tym czasie realizowano nowatorski eksperyment pedagogiczny dający szansę młodym buntownikom odrzuconym przez „normalne” szkoły. Janina Zawadowska miała ogromny wpływ na kształtowanie społecznych postaw, zarówno kadry pedagogicznej, jak i uczniów. Była wrażliwa na cierpienie drugiego człowieka, potrafiła pomagać innym w sposób mądry i skuteczny. Pracę w Ośrodku traktowała jako misję i związek z tym była zawsze gotowa do pracy rzecz innych. Potrafiła chorych – uzależnionych podopiecznych zabrać do własnego domu i tam stworzyć im warunki sprzyjające zdrowieniu.

ŻYCIORYS



JANKA...



Wszystkim imponowała swoją rozległą wiedzą, umiejętnościami i niezliczoną ilością pomysłów na wychowanie i edukację. Dzięki Jej pracy w naszym Ośrodku wielu młodych ludzi ukończyło szkołę średnią, a później wyższe studia. W latach osiemdziesiątych, kiedy powstała pierwsza Solidarność Nauczycielska, Janina Zawadowska zajęła się reformowaniem polskiej oświaty. Doskonale rozumiała, że konieczne zmiany w oświacie wymagają podnoszenia kwalifikacji nauczycieli.

Od 1991 roku była Wicedyrektorem Departamentu Doskonalenia Nauczycieli w Ministerstwie Edukacji Narodowej, a w 1992 roku kontynuowała to ważne zadanie pełniąc funkcję dyrektora Centrum Doskonalenia Nauczycieli, w którym pracowała do 1997 roku.

w 1997 roku została Prezesem TRIO – Towarzystwa Rozwijania Inicjatyw Oświatowych. Była inicjatorką, współtwórczynią systemu doskonalenia nauczycieli – między innymi programu Nowa Szkoła i Wizytator. Program ten popularyzował nowe nauczanie i zarządzanie placówkami oświatowymi. Jako Prezes TRIO wspierała i promowała twórcze, nowatorskie działania w reformującej się polskiej oświacie. Szczególnie zajmowała się upowszechnianiem edukacji przedszkolnej na wsi i w małych miejscowościach.

Była ekspertem od spraw oceniania oświatowych projektów unijnych. Uczestniczyła w wielu projektach współpracy europejskiej. Od 2009 roku, jako członek rady programowej miesięcznika Dyrektor Szkoły upowszechniała wiedzę o edukacji w Polsce i na świecie. Angażowała się we wszelkie działania mające na celu podniesienie jakości pracy edukacyjnej, wspierała także wszystkich tych, którzy takie działania podejmowali.

Do końca życia pozostawała aktywna. Zmarła jadąc na konferencję poświęconą PISA – program międzynarodowej oceny umiejętności uczniów.

Nagrody i odznaczenia:

1997 r. – Medal Komisji Edukacji Narodowej za wybitne osiągnięcia w pracy dydaktycznej i wychowawczej,

2011 r. – pośmiertnie odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w działalności na rzecz edukacji narodowej, za osiągnięcia w pracy dydaktycznej i wychowawczej.

Zosia, Kalina, Kaśka

WYWIAD Z ZOSIĄ OCHAB

Kalina – Zosiu, wiem, że dla Ciebie to ważne, to wspomnienie o Jance.

Zosia – Tak, ważne, ja wciąż nie chcę zaakceptować tego, że jej nie ma...Nie wiem od czego zacząć, tyle rzeczy można by opowiadać o niej, o jej pasjach, pracy, o tym jakim była przede wszystkim człowiekiem, jaką osobowością.

Kalina – Dla wszystkich nas była ważną, bardzo ważną osobą.

Kaśka – To w takim razie uporządkujmy to jakoś. Może od początku, kiedy, w jaki sposób Janeczka trafiła do SOSu?

Zosia – Do SOSu trafiłyśmy z Janką w tym samym czasie. Moja znajoma uczyła w klasach filialnych, (wtedy jeszcze nie było szkoły, ani ośrodka tylko klasy filialne, dopiero kiedy Solidarność wywalczyła szkoły autorskie powstał SOS) i powiedziała mi o wolnym etacie fizyka, a ja szukałam wtedy pracy. O specyficie tego miejsca nic nie wiedziałam. Na miejscu okazało się, że brakuje chemika. Powiedziałam o tym swojej przyjaciółce, a ona się ucieszyła, bo jej znajoma miała już dość pracy naukowej i chciałyby spróbować pracy w szkole. I tak, 1 września '80 roku zaczęłyśmy z Janeczką pracować w SOSie. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy, miałyśmy podobne zdanie na różne tematy, szybko też SOS nas pochłonął. To było wyjątkowe miejsce, to też był taki czas: Solidarność, ludzie się angażowali, chcieli coś robić. Żyło się SOSem, tak było z Janką, bardzo często wychodziła do domu ostatnia, a wieczorem dzwoniła do mnie i długo rozmawiałyśmy o tym, co wydarzyło się w SOSie.

Kaśka – Jaka była Janeczka w SOSie? Jak się tam odnalazła?

Zosia – Janka była przede wszystkim człowiekiem, na którego można było liczyć. Miała ogromną życzliwość dla ludzi, angażowała się, pomagała. Miała dużo ciepła, czułości, uwagi dla uczniów, i dla kolegów. Przecież, kiedy Janka przyszła do SOSu, to była człowiekiem z „innej bajki”, nigdy wcześniej nie miała do czynienia z tak zbuntowaną młodzieżą i kulturą alternatywną.

ZOSIA



JANKA...



A jednak szybko to miejsce stało się jej miejscem. Z jej zdaniem liczyli się wszyscy, a co najważniejsze, uczniowie. Ona nie wchodziła w emocje, umiała słuchać, i oni jej słuchali.

Kalina – My też jej słuchaliśmy, było ważne to, co ona mówi.

Zosia – Tak, Janka nieustająco zadziwiała swoim zaangażowaniem i taką niezwykłą hojnością. Ten jej wspaniały dom był otwarty dla nas i dla uczniów, wiedzieli, że Janka przygarnie, nakarmi, przemocuje. Nieraz przygarniała do siebie uczniów, którzy nie mieli gdzie się podziać. Tyle dni, godzin spędziliśmy w tym dużym domu z niesamowitym klimatem, obrazami, fortepianem, z tym bajecznym ogrodem, a przecież w tym domu żyli normalni domownicy: mąż, dzieci, wnuki, mama, ciotka. Janka ciągle robiła jakieś niesamowite ilości przetworów.

Kalina – Pamiętam, stoiki dla więźniów...

Zosia – Zawsze miała coś, czym częstowała, piekła ciasta...

Kalina – A pamiętasz te nieprawdopodobne ilości uszek, które kleiła...

Kaśka – Taki dom sam w sobie wymaga ogromnego wysiłku, a jeszcze tylu domowników, i praca w SOSie, i przyjaciele, i znajomi – dzisiaj wydaje się niemożliwym, żeby to wszystko ogarnąć, a ona dawała radę.

Zosia – Tak, ale Janka była niesamowicie pracowita, i przy tym nigdy się nie skarżyła, że ma za dużo na głowie i że jest zmęczona.

Kalina – Tak zawsze coś robiła, i te jej słynne: „chcesz mieć zrobione – zrób sam”.

Zosia – a przecież miała swoje pasje, i tak naprawdę wieloma rzeczami się interesowała i miała dużą wiedzę. Polityka, historia, ekologia – zawsze chętnie wchodziła w rozmowy na różne tematy. Kochała góry, jeździła świetnie na nartach, dopiero kłopoty z kolanem, a później z sercem odebrały jej tę pasję. Jeszcze na początku pracy w SOSie, jeździła kiedy tylko mogła w góry. Zresztą w SOSie też byli ludzie kochający góry, jeździli więc razem, ja też byłam z Janką w Tatrach, na Budzowym Wierchu, ale nie miałam tak dobrej kondycji, jak ona.

Kalina – Tak, to wszystko prawda, ale ja przynajmniej, uwielbiałam siedzieć u Janki w kuchni i, oczywiście z Janką, oddawać się

niewinnemu „plotkarstwu”. I nie było w tym ani typowej dla tego zajęcia złośliwości, jadu, tylko obracanie różnych historii w żart, anegdotę, a wtedy kiedy była jakaś poważna sprawa to mówiliśmy poważnie. Najcudowniejszym komentarzem do wielu przewijających się w tych opowiadanych historiach z życia były jej słowa: „Różnych Pan Bóg ma lokatorów”.

Zosia – Ale w tym, właśnie, nie było złośliwości, zawiści. Janka tworzyła w swym domu na Żoliborzu niesamowitą atmosferę, w której wszyscy się dobrze czuli. Zawsze była uważna, wyczulona na potrzeby innych. A przecież był jeszcze Szumin, do którego jeździliśmy na wycieczki, obozy. W tym niezwykłym domu Janka, która panowała nad wszystkim, miała ascetyczny wręcz pokój. W ogóle jeżeli chodzi o swoje potrzeby, na przykład o ubieranie się, była niestychania skromna.

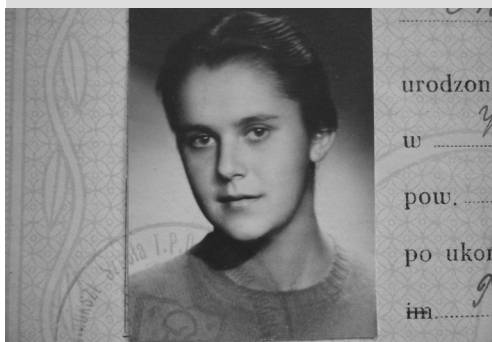
Kalina – Można powiedzieć, że była wręcz abnegatką. Pamiętam tę jej zieloną pluszową spódnicę i takie też bolerko, tyle, że haftowane, do tego chyba żółta bluzka, wiązana pod szyją; każdy inny wyglądałby źle, ale w przypadku Janki na takie rzeczy nie zwracało się uwagi.

Zosia – Wiesz, ja nawet nie pamiętam tego o czym mówisz, to naprawdę nie było ważne, bo ona była osobowością. W jej sposobie bycia liczyło się to, że tak zwyczajnie, była niezwykajna, i była tak po prostu skromna. I ta jej niestychana pracowitość, od rana do wieczora czymś zajęta. Nie pamiętam, żeby kiedyś wyszła z SOSu pierwsza. Kiedy nie było uczniów, zajmowała się dokumentacją. Z szelmowskim uśmiechem wypełniała różne dziwne rubryki w dziennikach, wypisywała karteczki dla nauczycieli, gdzie mieli uzupełnić puste miejsca. Ona w taki naturalny sposób dawała sobie ze wszystkim radę. Miała zawsze czas dla innych, czynna, wierna przyjaciołom, nawet, kiedy już nie była w SOSie lub kiedy ktoś odchodził, wyjeżdżał nawet daleko – te przyjaźnie przetrwały lata. Pamiętała również o swoich zmarłych przyjaciółtach i uczniach. Niedawno usłyszałam, że w dzień zmarłych zawsze jeździła na grób Indianina – byłego ucznia. Ona dawała innym siebie, a sama o sobie nie dbała. Choć żyła w domu z takim artystycznym klimatem i przy swoich szerokich zainteresowaniach (dużo czytała, chodziła do kina, teatru, na wie-

ZOSIA



JANKA...



czory poetyckiej) nie była jakąś szczególną entuzjastką sztuki, nie pociągało jej to jakoś najbardziej.

Kaśka – Wydaje się, że Janeczka najlepiej czuła się w pracy z ludźmi.

Zosia – Tak, Janka miała tę niesamowitą zdolność rozmawiania z ludźmi, wydaje się, że zawsze była otwarta na ich potrzeby.

Kalina – Ale przy tym była też bardzo krytyczna wobec wielu kwestii, czasami nieobcy był jej też sceptycyzm. Była krytyczna, bo miała oczy otwarte.

Kaśka – Inaczej nie byłaby tym, kim była...

Zosia – Miała też potrzebę odreagowania różnych rzeczy. Życie ludzi mogłoby być materiałem na kilka filmów obyczajowych.

Kalina – Albo tragikomedii. A Janka obserwowała to, co się dzieje wokół niej z życzliwością widza w kinie, ale też z dużym uśmiechem do ludzkich ułomności, słabości. Ja mam takie wrażenie, że Janka była coraz bardziej sama, bo najpierw wszyscy razem, a później została sama.

Zosia – Bo szkoła jest instytucją wypalającą, a kiedy zaproponowano jej przejście do ministerstwa nie była już tak związana emocjonalnie z SOSem.

Kalina – Ale ona chciała jeszcze coś zdziałać w oświacie, a do tego działania zaprosić różne osoby...

Zosia – I chyba zdziałała...

Kalina – Ale to już tak nie wychodziło... Widziałam, że te ostatnie lata to było dużo rozczarowań.

Zosia – Janka bardzo zaangażowała się w reformę. Nie chciała się pogodzić z tym, że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Kalina – Janka nie chciała być utożsamiana tylko z klęską, ale także z tym, co było w tej reformie dobre. Nie godziła się z tym, że autorzy reformy są wyłącznie odpowiedzialni za jej niepowodzenia, byli przecież jacyś wykonawcy, a nie wszystko w idei reformy było złe.

Zosia – Janka nas przyzwyczaiła, że nawet, jak jest coś złe, to ona da temu odpór. Jej kłopoty z sercem – ja też tego nie potraktowałam poważnie.

Kalina – No właśnie, pamiętam, że jak tylko dokądś pojechała to zaczęło się dziać coś niedobrego ze zdrowiem. Z sercem. I wtedy myślałam, że gdyby się naprawdę źle czuła, to nigdzie by nie jeździła.

Zosia – Ale Janka tak lubiła podróże, miała taką ogromną potrzebę poznawania świata.

Kalina – Ja myślałam, że podróżowanie wynika z dobrego stanu zdrowia, ale teraz widzę, że ona jeździła, żeby zdążyć jeszcze coś poznać, bo naprawdę źle się czuła, ale to nie mogło jej w niczym ograniczyć.

Zosia – Tak, mam takie poczucie, że nie traktowało się poważnie tego, co ona mówiła o swoim zdrowiu. Przejmowała się innymi. Dzień przed swoją śmiercią przysłała mi maila z pytaniem jak się czuję. Nie przyszło mi do głowy traktować Jankę jak chorą.

Kalina – No, nikomu...

Kalina Kobylińska

O JANCE SŁÓW KILKA

Jestem jedną z tych „od Janki”. Poznałam ją w 1987 roku, gdy przyszłam pracować do SOSu. Od tego czasu cały czas utrzymywałam z nią kontakt, a w ostatnich kilku latach, gdy na jej prośbę zapisałam się do Stowarzyszenia TRIO, którego była prezesem, dość regularny. Była dla mnie bardzo ważną osobą. Myślę, że już do końca życia, będzie mi towarzyszył z off-u głos Janeczki wypowiadający sakramentalną formułę: *Jak chcesz mieć coś zrobione, to zrób sobie sam.*

Zapytałam pana Google’a czy zna to powiedzenie; zna, ale w innej wersji: *Jak chcesz mieć coś zrobione dobrze, to zrób to sam.* Niby to samo, ale nie do końca. W wersji Janeczki nacisk jest położony na to by zabłąkana duszyczka, zamiast oglądać się na innych, sama zabrała się do roboty. Przy czym zazwyczaj w tzw. starym SOSie tą zabłąkaną duszyczką nie była osoba poddawana – serwowanej w tym miejscu, w owym czasie – osobliwej kuracji socjoterapeutycznej, tylko ktoś z nas – kadry tego ośrodka.

Mieliśmy koto trzydziestki. Podzieleni na nauczycieli i wychowawców i garstkę osób z obsługi. Na tych którzy spędzali w SOSie całe dni i tych co wpadali na kilka godzin. Niezależnie od tych podziałów,

KALINA



JANKA...



cały czas dynamicznie dzieliliśmy się na grupy, podgrupy, zespoły do „walki z”, zespoły do „walki o”. A ponad tym wszystkim była Ona. Nasza Janka. Wobec której, jako jedynej, obowiązywały inne reguły gry.

Do Janki się mówiło, nie krzyczano. Nawet w najgorętszych sporach unikano się używania słów obelżywych, co w innych konfiguracjach było uznawane za normę. Kiedy po jakiejś radzie pedagogicznej Janka zaniemogła i wylądowała na kardiologii, zatroskani o jej stan zdrowia, palcem wytykaliśmy „winowajcę”, który nie mogąc znaleźć argumentów na poparcie swojej tezy, przekroczył umowną granicę i w mało parlamentarny sposób wyrzeszczał pod jej adresem swój protest.

Bo wbrew pozorom, robiąca wrażenie łagodnej i dobrotliwej, wcale nie była łatwym przeciwnikiem w dyskusji. I to, co często w pierwszej chwili błędnie było brane za słabość charakteru, było tylko dobrym wychowaniem oraz przestrzeganiem norm i konwenansów.

Epoka starego SOSu to czas, gdy jeszcze nie wiał zachodni wiatr, nikt nie słyszał o zarządzaniu kryzysem, chaosem, zmianą. Patrząc wstecz, trudno zrozumieć po co było aż tak bardzo się spierać, ustalać normy, o których z góry było wiadomo, że nikomu nie uda się ich wyegzekwować, zawierać na papierze niemożliwe do realizacji kontrakty, a następnie godzinami o tym dyskutować, mimo że z góry było wiadomo, że nikt nikogo nie przekona.

Tymczasem Jance jakoś udawało się nad tym wszystkim zapanować, i z sukcesem zarządzała permanentnym trzęsieniem ziemi.

Jak jej się to udawało?

Myślę, że przede wszystkim dlatego, że podczas, gdy my kolejno raz usiłowaliśmy ustalić co było pierwsze: jajko czy kura, Janka – bez oglądania się na innych – sama robiła tę pogardzaną przez wszystkich „prozaiczną, papierkową” robotę. Piekała w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu: to, co powinno zostać zrobione, było zrobione i umacniała swoją „królewską” pozycję. Siłą rzeczy, im więcej robiła, tym bardziej postrzegaliśmy ją jako najlepiej zorientowaną, nie tylko w swojej „działce”, ale w tzw. „całokształcie”. To ostatnie bardzo jej pomogło, gdy reprezentowała SOS na zewnątrz.

Z perspektywy lat widać, do jakiego stopnia SOS jako miejsce pracy był kolorową wyspą na szarym morzu oświaty. A dla większości

z nas był nie tylko miejscem pracy, ale i towarzyskim grajdotem. Nie da się ukryć, że mocno rozplotkowanym i że Janka brała w tym czynny udział – pewnie w tamtym czasie żyła trochę naszym życiem, patrząc na nie jak na serial obyczajowy.

Gdy się to wszystko w okolicach 1989 roku zaczęło rozłazić, Janka zabrała się za rzecz jeszcze bardziej niemożliwą, czyli reformowanie systemu oświatowego. A ponieważ dalej utrzymywałyśmy kontakt, obserwowałam jak się spala w tej nierównej walce – bo ile razy dziennie można starać się zachować zimną krew, kwitując kolejne sytuacje powiedzeniem: różnych Pan Bóg ma lokatorów.

A potem było jeszcze gorzej, bo reforma została wdrożona i wyszło nie tak, jak to było zakładane. Janeczka nie kwestionowała wprawdzie tego, że nie wszystko wyszło zgodnie z planem, ale do końca bronila reformy. Uważała, że upowszechnienie średniego wykształcenia warte jest ceny, którą trzeba było za to zapłacić. Na pytania z gatunku: „jak można było dopuścić do tego, że dzisiejszy maturzysta nie zna nawet jednego cytatu z *Wesela* i nie wie, kto to był Wyspiański?”, odpowiadała: Jeżeli kiedyś maturę zdawało kilkanaście procent, a teraz zdaje osiemdziesiąt, to trzeba było radykalnie obniżyć poziom. Ale dzięki temu ci najgłupszy staną się odrobinę mądrzejsi i to się w dłuższej perspektywie wszystkim nam opłaci. Lubila przy tym powoływać się na liczby, procenty, badania. Miała ogromną wiedzę w tym zakresie, dzięki której wygrywała takie „starcia”.

Ale też nie ma co ukrywać, że coraz więcej było niezadowolonych z reformy, coraz mniej tych, co jej bronili – po śmierci głównych autorów reformy, nie wszyscy – tak jak Janeczka – byli gotowi dalej się z nią utożsamiać.

Coraz mniej podobało się też Jance opanowywanie życia społecznego i politycznego przez dziwnych lokatorów Pana Boga. Nie umiała się pogodzić z tym, że nastaly rządy „Edków”¹ i to, że chociaż kompromitują się na każdym kroku, nie spadają im sondażowe słupki poparcia.

W tym okresie często mówiła o swojej chorobie. O tym, że pewnie już niedługo umrze. Ale nie traktowałam tego tak bardzo poważnie.

¹ dla współczesnych maturzystów: Edek – bohater *Tanga* Mrożka

KALINA



JANKA...



Może dlatego, że zawsze mówiła o tym tak pogodnie i z uśmiechem: po powrocie z Bliskiego Wschodu opowiadała, jak to odetchnęła z ulgą gdy wreszcie znalazła się na pokładzie samolotu do Warszawy – dopiero wtedy poczuła, że może „bezpiecznie” umrzeć. Wcześniej zamartwiała się, jaki kłopot zrobi rodzinie umierając w Jerozolimie – miejscu, gdzie jest jedna z najdroższych ziem cmentarnych na świecie, a z kolei lotniczy transport zwłok również jest bardzo kosztowny. Moja uwaga, że niepotrzebnie się martwiła, bo takie sytuacje objęte są ubezpieczeniem, popsuta konwencję – Janka chciała o chorobie i o śmierci mówić „na luzie”, nie na poważnie.

Może dlatego, gdy Lucy² zobaczyła w Gazecie nekrolog Janeczki i w ten sposób dowiedziała się o jej śmierci, ze zdziwieniem powiedziała: *Mówiła zawsze, że umrze. Ale czy od razu musiała to robić?*

Małgorzata Brendel

JANKA

To niezwykle zjawiskowa osoba. Stateczna i doświadczona. Jej wewnętrzny spokój potrafił złagodzić wszystkie konflikty, a jej obecność wpływała na otoczenie w jakiś niezwykle sposób, przestawaliśmy krzyczeć i przeklinać, zmuszała do myślenia, szacunku i pokory i wywierała ogromny wpływ na tworzenie, przenoszenie i kultywowanie tradycji. Bez wahania otwierała swój dom na zebrania i rady pedagogiczne, kiedy SOS się tworzył, kiedy lekcje były w klasach filialnych i nie było żadnego konkretnego miejsca. Wtedy nauka odbywała się też u niej na Żoliborzu, a w letnim domu w Szuminie robiła obozy przedmaturalne i spotkania kadry.

Wspomnieć też należy czas, kiedy z eksperymentu stawaliśmy się instytucją i Janka ze swoim spokojem znosiła to dzielnie, przychodziła do Ośrodka w przerwach badań w szpitalu, by zaspokoić potrzeby wizy-

² Lucyna Bojarska

tatorów, bo już miała bardzo chore serce. Bardzo ważne były uroczystości z okazji świąt, kiedy gromadziły się tłumy ludzi, często nie mających możliwości spędzenia ich w domu z bliskimi. Pokazywała nam jak szanować i dbać o rodzinę. Po prostu wywieriała na nas presję samodzielnego myślenia i ciągłego wymyślania różnych akcji, takich jak wystawy, koncerty czy inne zajęcia, które mogą zająć ludzi. Kiedy ktoś przychodził do niej z pomysłem po akceptację czy pomoc, słyszał „jak chcesz, to sobie zrób” – święte słowa, które dodawały ducha; nie dostawało się opinii ani wskazówek, bo Janeczka uważała, że szkołę trzeba robić samemu, a będzie taka, jakiej nam trzeba; będzie się rozwijać i dopasowywać do uczniów i do pracowników. To my tworzymy to miejsce, więc – jeżeli mamy jakiś pomysł, to nie można przewidzieć, co z niego wyjdzie i czy się uda – dopóki tego nie zrobimy sami. Bo to wtedy jest nasz pomysł i trzeba go szanować, a nikt tego lepiej nie zrealizuje niż pomysłodawca. Pracownicy i uczniowie – pełne partnerstwo. Dzięki niej SOS mógł być jeszcze kilka lat na Grochowskiej, bo bez wahania, w 93 r., podczas wizyty Matki Teresy z Kalkuty – której misja mieściła się w tym samym budynku co Ośrodek – poszła zabiegać o nasze lokum.

Robiła paczki też dla więźniów. Pamiętała i dbała o groby tych, którzy odeszli. Bardzo nalegała o pamięć o rodzinach tych osób, bo często było im niezwykle ciężko.

Kiedy się spotykaliśmy, nie obywało się bez solidnej porcji plotek i żartów. Janka – choć już nie była naszym dyrektorem – zawsze wspierała SOS, bo to jest też jej dziecko.

Janusz Kostynowicz

O JANECZCE

Pociąg z Bielska-Białej miał za chwilę ruszyć. Razem z kolegami wychowawcami wracaliśmy wyluzowani po udanej akcji letniej w Beskidzie Żywieckim. Kiedy turystka w wełnianych skarpetkach i traperkach otworzyła drzwi przedziału, odpowiedziałem, że jedno miejsce

GOSKA



JANKA...



jest wolne. – My się skądś znamy? – Chyba znam Panią z SOSu? i tak przegadałem z Janeczką całą drogę, aż do Warszawy. O górskich trasach i schroniskach, o nowinkach naukowych, a nawet hodowli rybek w akwarium. Kumple mieli potem pretensje, że o nich zapomniałem.

Kiedy powstała w Warszawie ta pierwsza Solidarność nauczycielska, zamiast walczyć o podwyżki, zajęliśmy się reformowaniem szkół i placówek. Ogniska wychowawcze, w których pracowałem, prowadziły osobliwą szkołę podstawową dla przerośniętych uczniów „z załamaną linią szkolną”, w ich żargonie „szkołę dla czubów”. Z kolei nowatorski Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii SOS utworzył liceum dla młodzieży nieprzystosowanej społecznie, głównie punków i resztek hipisów. Zastanawialiśmy się wspólnie, jak uczyć młodzież zagrożoną? Jacowi Jakubowskiemu, który wtedy dyktował SOSowi, spodobało się nasze hasło „szkoła bez lekcji”. Byliśmy inicjatorami opozycyjnej konferencji Opieki i Wychowania. Poznałem wtedy Janeczkę, dyrektorkę liceum w SOSie, która dodatkowo uczyła tam chemii. [...]

W 1988 roku Misiek Olszański, drugi dyrektor SOSu miał już chyba dość i chciał odejść. Zaczęli szukać zastępcy. Janeczka zapamiętała, że wydzwaniali do mnie do ogniska, żebym został dyrektorem SOSu, a ja się wykręciłem. Opatrzność mnie ustrzegła.

Za to w 1990, kiedy zacząłem pracę w Kuratorium, przypadł mi zaszczyt nadzoru nad SOSem a także jego szkołą. W garniturze i krawacie poszedłem zwizytować lekcję polskiego. Polonista Łukasz Ługowski wyglądał bardziej odlotowo niż jego uczniowie. Miał monolog o *Dzkiej Kaczce* Ibsena. Sam nie byłem prymusem, nie znałem tej lektury. Panowała zupełna cisza i wydawało mi się, że uczniowie drzemią. Nikt nie notował, co uważałem wówczas za karygodne zaniedbanie. Na środku klasy stało krzesło, na nim magnetofon i kręciła się szpula. Więc doszło do tego, że tu uczniowie nagrywają nauczycieli. Chciałem wtedy zbawiać świat, więc Janeczka, dyrektorka szkoły zapraszała mnie po tych wizytacjach na kawę do kanciapy, w której chowano przed uczniami dzienniki i cierpliwie wyjaśniała, dlaczego w tym miejscu inaczej uczyć nie można.

Kiedy w 1991 została wicedyrektorem Departamentu Doskonalenia Nauczycieli w Ministerstwie Edukacji, my w naszym Kuratorium

wymyślaliśmy już z Anią Grobicką (obecnie Anią Rękawek – Naczelną „Dyrektora Szkoły”) nowe formy szkolenia wychowawców. Było o czym z Janeczką rozmawiać. Uruchomiliśmy później przy placówkach warszawskie ośrodki twórczości pedagogicznej.

Częściej spotykałem Janeczkę, gdy została dyrektorem Centralnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli. Wydział Oświaty Gminy Warszawa – Centrum, w którym właśnie podjąłem nową pracę, był zaraz obok CODN-u. Razem z moją szefową Ireną Dzierzgowską, wpadaliśmy do Janeczki po sąsiedzku. [...]

W 1996 wpadliśmy w gminie Centrum na pomysł, żeby stworzyć ruch na rzecz rozwoju oświaty. Profesor Antonina Gurycka zwróciła się do nauczycieli akademickich i nawet ściągnęła dwoje profesorów z Poznania, Annę Brzezińską i Zbigniewa Kwiecińskiego, ja rozesłałem wici do placówek wychowawczych, które były wtedy jeszcze instytucjami oświaty, Irena Dzierzgoska poprosiła o pomoc Janeczkę. Po roku zarejestrowaliśmy Towarzystwo Rozwijania Inicjatyw Oświatowych TRIO. [...] Janeczka została [...] prezesem Towarzystwa i jest nim do dzisiaj. Co cztery lata, gdy musieliśmy wybierać nowy Zarząd, próbowała rezygnować z tej zaszczytnej funkcji. Za każdym razem błagaliśmy Janeczkę, żeby została i przyrzekaliśmy, że już tym razem będziemy Jej pomagać.

Małgorzata Brendel, Krystyna Krawczyk

WŁADEK KLAMERUS

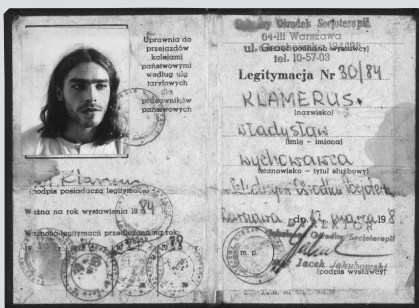
Pomysł stworzenia galerii – Klamerusówki – powstał dawno temu. Teraz wreszcie jest to możliwe. Chcemy dać młodym ludziom miejsce, gdzie będą mogli pokazywać swoją twórczość.

Władysław Klamerus urodził się 13 stycznia 1956 roku w Zakopanem jako przedostatni z ośmiorga rodzeństwa. Mając rok zaraził się chorobą Heinego-Mediny, co spowodowało długotrwałe leczenie szpitalne i wieloletnią rehabilitację. Pozostało trwałe kalectwo.

JANUSZ



KLAMERUS



Drogę artystyczną zaczął od nauki w słynnym Liceum Sztuk Plastycznych im. Antoniego Kenara w Zakopanem.

Od 1977 r. studiował na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych: najpierw w pracowni Stanisława Kulona, potem Jerzego Jarnuszkiewicza, promotora pracy dyplomowej. Dodatkowo uczęszczał do Pracowni Struktur Wizualnych Oskara Hansena na studia indywidualne, podjął też studia w Pracowni Tkaniny eksperymentalnej Wojciecha Sadleya.

Przez większość artystycznego życia pozostawał w kręgu działań niezależnego ruchu artystycznego i społecznego. Obok wystaw zbiorowych związanych ze środowiskiem uczelni w Muzeum ASP w Warszawie *W kręgu Formy Otwartej – uczniowie Hansena* (1986) korzystał z gościnności Muzeum Archidiecezji Warszawskiej oraz brał udział w niezależnych spotkaniach ze sztuką organizowanych przez Ninę Smolarz i Janusza Boguckiego w kościele p.w. Miłosierdzia Bożego na ul. Żytniej w Warszawie. Związał się również z Instytutem Francuskim organizując tam swoje wystawy indywidualne z odręcznie przygotowanymi katalogami. Charakterystyczne były kreowane przez Władka tzw. Galerie Jednego Dnia, kiedy to adaptował na parę godzin dowolne miejsce: gościnną pracownię, ogród, jakieś pomieszczenie na własną prezentację. Działal w tzw. Żydowskim Uniwersytecie Latającym i podejmował tematy nieobecne w powszechnej świadomości. W 1988 roku zaprojektował – wraz z Hanną Szmalenberg – pomnik na Umschlagplatz.

Po studiach podjął pracę w Szkolnym Ośrodku Socjoterapii w Warszawie, gdzie prowadził zajęcia plastyczne przez pięć lat. Sprawdził się w tej roli doskonale; kilkoro jego uczniów zostało spełnionymi artystami.

Od 1986 roku zaczął wyjeżdżać. Kilkakrotnie jeździł do Paryża i na południe Francji, gdzie dzięki determinacji, intensywnej pracy i życzliwości ludzi wystawia swoje prace. Poparcia w zdobyciu stypendium udziela mu Józef Czapski. W Szwecji otrzymał pomoc nie tylko artystyczną, także w kwestiach zdrowotnych.

Od początku lat dziewięćdziesiątych planował spełnienie swojego marzenia – podróży i pracy artystycznej w Ameryce Południowej. Plany przerwała mu ciężka choroba i śmierć 14 lipca 1992 roku. Zgodnie z jego życzeniem jego prochy zostały rozsypane w Tatrach, zawsze będących dla niego szczególnym miejscem.

*Bardzo dziękujemy całej rodzinie Brendel, a szczególnie Gosi,
za świetne pomysły, pracę i energię,
którą potrafiła zarazić wszystkich zaangażowanych
w organizację obchodów.*

*Wielkie podziękowania Oldze Latuszkiewicz
– bez jej pomocy ta publikacja nie mogłaby się ukazać.*

*W publikacji zostały wykorzystane zdjęcia
robione przez uczniów i pracowników SOSu na przestrzeni XXX-lecia
naszego Ośrodka.*

*Jest to swoista sentymentalna podróż w czasie, która sprawiła nam
ogromną przyjemność – mamy nadzieję, że i Wam się spodoba oraz że
odnajdziecie się w tych klimatach.*

*Dziękujemy pp. Zawadowskim za udostępnienie archiwalnych zdjęć
Janeczki.*

MŁODZIEŻOWY OŚRODEK SOCJOTERAPII Nr 1 „SOS”

*ul. Rzymowskiego 36
02-697 Warszawa
tel./fax. + 48 22 647 01 16, 17;
e-mail: sekretariat@mossos1.pl
www.mossos1.pl*



*Z naszej strony, Adam,
serdeczne dzięki.
Bez Ciebie wielu rzeczy
by nie było, a wiele było by nie tak,
nie tak...
Bogna i Olga*



ДА ЗДРАВСІІІЗУЕІІІ СІІІРАУІ